Nr 4 (28)
ROK II

TYDZIEŃ

26. I. 1947 r.
Cena 12 zł

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



W DZISIEJSZYM NUMERZE: STEFANIA GRODZIEŃSKA, JAROSŁAW IWASZKIEWICZ, JERZY WYSZOMIRSKI



Dyrektor Polskiego Radia Billig złożył prezydentowi Bierutowi w Belwederze sprawozdanie o wykonaniu p anu radiofonizacji kraju w 150%.



Nowy ambasador Jugosławii dr Rade Pribicevic składa w Belwederze listy uwierzytelniające prezydentowi Bierutowi.



NASZA OKŁADKA

Janina Ordężanka i Danuta Szaflarska w filmie „Zakazane Piosenki".



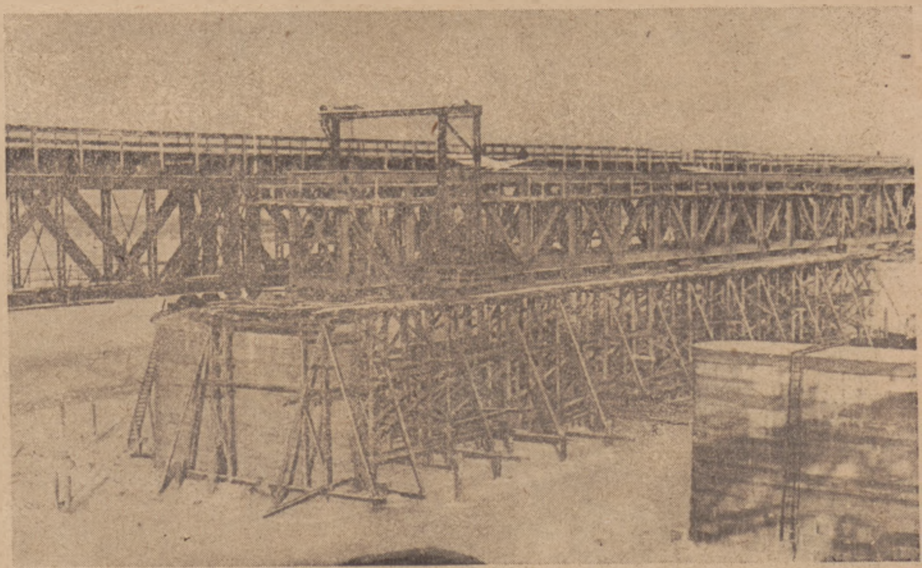
Proces Grocholskiego. Od lewej: Kalicki, Grocholski, Kosiorkówna i Baczek.



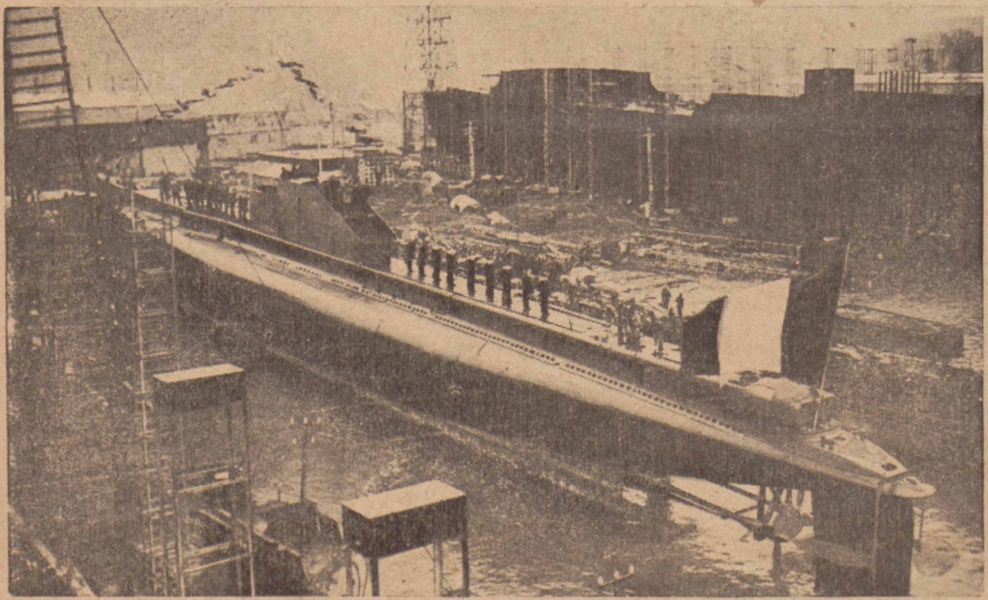
Po wyborze Auriola na prezydenta Francji premier Blum wraz z członkami rządu składa życzenia pierwszemu prezydentowi Czwartej Republiki.



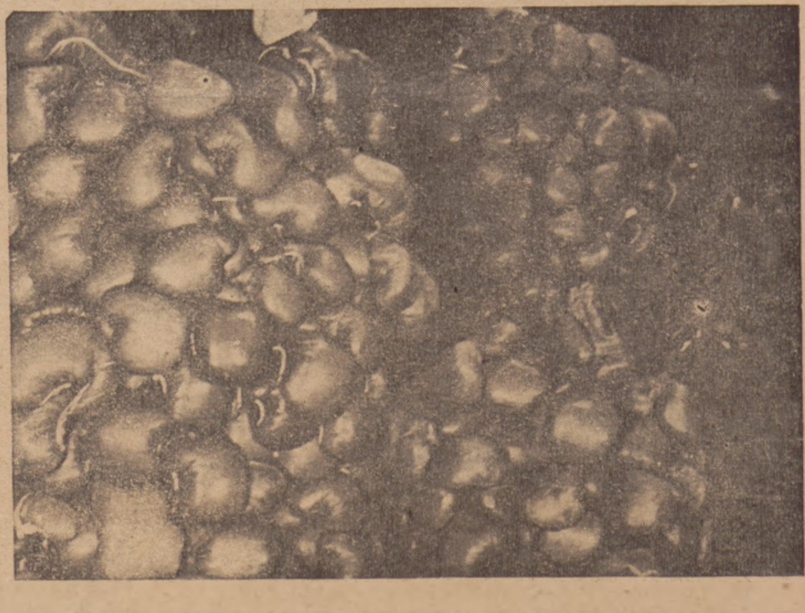
Anna Burschówna — mistrzyni okr. warszawskiego na 1947 r. Jadwiga Dąbrowska — mistrzyni Polski na 1946 r. i Barbara Łaniewska — wicemistrzyni okr. warszawskiego na 1947 r. (Film Polski)



Montaż V-go przęsła mostu kolejowego przy Cytadeli w Warszawie.



Flota francuska powiększyła się o nową łódź podwodną najnowszego typu, wybudowaną po wojnie, która otrzymała nazwę: „L'Africaine.



YMCA ofiarowała klubom warszawskim 1500 par rękawic bokserskich.

tak i nie

Po 19 stycznia



Nieoficjalne wyniki wyborów są już znane. Przyniosły one zdecydowaną większość Blokowi Demokratycznemu. Grupa posłów PSL w przyszłym Sejmie nie przekroczy liczby trzydziestu. Przypomnieć trzeba, iż w czasie pertraktacji o utworzeniu Bloku Wyborczego sześciu stronnictw proponowano stronnictwu p. Mikołajczyka 25 proc. ogółu mandatów. A pan Mikołajczyk zażądał 75 proc. Takie są rezultaty zbyt wielkich apetytów.

Wynik wyborów przyniósł pewien sukces grupie młodych katolików, grupujących się wokół pisma „Dziś i jutro". Zdołali oni ze swych samodzielnych list przeprowadzić trzech posłów. W Warszawie nie uzyskali mandatu, ale skupili bądź co bądź ponad 15 tys. głosów. Rzeczą charakterystyczną jest, iż inicjatywa młodych katolików przedsięwzięta została przy całkowitym milczeniu i braku poparcia oficjalnych kół kościelnych.



Pewien ambasador

Dużo się pisało w prasie codziennej o osobie pewnego ambasadora wielkiego mocarstwa, zamieszanego w aferę szpiegowską hr. Grocholskiego. W sprawie tej jednak nie sięgnięto do istoty rzeczy.

Nie jest to nowe i niezwykłe, że jedno państwo pragnie zdobyć pewne tajemnice państwa drugiego. Jest to, niestety, rzecz normalna. W tym wypadku jednak znamienny jest system, który został zastosowany. Ambasador, najwyższy rangą przedstawiciel dyplomatyczny, reprezentuje głowę swego państwa. Akredytowany jest przy rządzie państwa drugiego. Dziwne więc jest nie to, że owo pewne mocarstwo tymi czy innymi sposobami starało się zdobyć tajemnice państwowe Polski, ale to, że nie zawahano się robić tego własnymi rękami ambasadora, który z natury swej godności i obowiązków powinien trzymać się z dala od osobistego noszenia żółtych kopert ze szpiegowskimi materiałami.

W tym postępowaniu pewnego ambasadora wyraża się ten znany skądinąd pogardliwy stosunek do Polaków. Gdyby ambasador miał coś podobnego zrobić we Francji, lub w ZSRR, na pewno by się cofnął. Ale cóż? Tu chodziło tylko o sprawy Polski. Tu chodziło tylko o przekroczenie granic przyzwoitości i praw dyplomatycznych tylko w Polsce, a to, niestety, dla pewnych narodowości nie ma wielkiego znaczenia.

Wywiady



Jako naród tradycyjnie gościnny, zawsze z otwartymi ramionami witamy u siebie miłych gości zagranicznych. Byle by tylko nie mieli brzydkiego zwyczaju robienia... wywiadu. Natomiast bardzo chętnie służymy im — wywiadami i wyczerpującymi, szczerymi informacjami.

Wybory w Polsce stały się sensacją dnia całej prasy zagranicznej. Zjechały rozmaite słynne asy dziennikarstwa ze znakomitym Ralphem Ingersollem na czele. Zorganizowaliśmy dla nich szereg interesujących rozmów z przedstawicielami rządu. Każdy znalazł dla nich czas, mimo zrozumiałego w okresie wyborczym przepracowania — i Prezydent Bierut i Premier Osóbka - Morawski i Wicepremier Gomułka. Drugi Wicepremier nie miał przypuszczalnie trudności ze znalezieniem dla nich czasu, ponieważ odprawy korespondentów zagranicznych należą u niego niejako do programu zajęć codziennych... Konferencja prasowa u Premiera Osóbki - Morawskiego dzięki ciętym i dowcipnym odpowiedziom Premiera na niepozbawione złośliwości pytania amerykańskich dziennikarzy, dała kilkakrotnie okazje do ogólnej wesołości.

Pewien korespondent, znany z nieprzychylnych, złośliwych artykulików w prasie amerykańskiej zapytał Premiera na marginesie sprawy aresztowania Wacława Lipińskiego i wykrycia w jego fajce listu podziemia do Wicepremiera Mikołajczyka odnośnie bojkotowania wyborów:

— Czy Pan Premier nie uważa, że było faktem pomyślnym, iż akurat w tym okresie taki list się znalazł?

— Nam to nie zaszkodziło... — odparował zręcznie Premier wśród śmiechu obecnych na sali.

Gdy ten sam korespondent, przytaczając wypowiedzi Wicepremiera Mikołajczyka na temat pokrzywdzenia jego stronnictwa w czasie akcji przedwyborczej, zapytał, czy w tych warunkach możliwe jest przeprowadzenie wyborów zgodnie z wolą narodu. Premier odpowiedział:

— Jeżeli Pan Korespondent jest lepiej poinformowany ode mnie w sprawach polskich, to może ja do niego przyszedłbym po wywiad?!!

Churchill tylko Anglikiem



Na Churchillu sprawdza się zasada, że nawet największy Anglik, gdy minie grożące Anglii z kontynentu europejskiego niebezpieczeństwo, przestaje być Europejczykiem, a staje się znowu tylko Anglikiem.

Ostatnio Winston Churchill ogłosił w amerykańskim czasopiśmie „Collier's Magazine" artykuł, w którym staje się usilnym propagatorem darowania Niemcom wszelkich win z okresu ostatniej wojny i wciągnięcia Niemiec do bloku zachodniego. Stanowi to bardzo niebezpieczną dla Europy koncepcję polityczną, którą Europa stanowczo odrzuci. Nie idzie już o samo przebaczenie zbrodni niemieckich. Idzie o to, że blok zachodni z Niemcami posiadałby ostrze, skierowane zupełnie wyraźnie przeciw środkowej i wschodniej Europie. Projekt Churchilla byłby jednoznaczny z podziałem Europy na dwa wrogie obozy i oddaniem kierownictwa jednego z tych obozów w ręce Niemców. Byłby to nawrót do ich własnej koncepcji z końcowego okresu wojny, gdy Niemcy sugerowali całemu światu, że stworzyli blok europejski, który toczy śmiertelną walkę z bolszewizmem. Wówczas Churchill odrzucał z oburzeniem taką koncepcję. Dziś sam ją propaguje.

Takie stanowisko Churchilla jest tym dziwniejsze, że jeszcze do niedawna był on w Anglii obok lorda Vansittarta jednym z najlepszych znawców psychologii niemieckiej i niemieckiego problemu.

Wszystkie ostatnie wystąpienia publiczne Churchilla świadczą, iż należy on do tych rzadkich typów wielkich polityków, którzy nie chcą się pogodzić z faktem, że ich czas już przeminął i że powinni usunąć się z areny politycznej w zacisze domowe. Pod tym względem Churchill różni się diametralnie od Jerzego Clemenceau, który usunął się w całej glorii swej wielkości, zyskując sobie zaszczytne miano „ojca zwycięstwa".

Zyski rosną, zarobki spadają

Gdzie? Oczywiście w Ameryce. Mimo podwyżek uzyskanych na skutek strajku na początku ubiegłego roku, zarobki robotników spadły, wobec zmniejszenia liczby godzin pracy. Wykaz National City Bank donosi za to, że zarobki 350 towarzystw przemysłowych kontrolowanych przez ten bank wzrosły w trzecim kwartale 1946 r. o 70 procent. Przemysł stalowy zarobił o 42,7 proc. więcej, a przemysł żywnościowy o 43,9 procent.

Dobrze się kapitalistom powodzi w „najwłaśniejszym kraju Pana Boga".

Byłeś hitlerowcem

Ukazała się w Niemczech broszurka pod intrygującym tytułem: „Byłeś hitlerowcem".

W istocie jest to poradnik kieszonkowy dla byłych członków partii hitlerowskiej, gestapowców i tp. Pożyteczne wskazówki są podzielone na szereg rozdziałów: „Prawa internowanego i jego rodziny, akt oskarżenia, postępowanie denazyfikacyjne, dowody odciążające, niewłaściwość sądów, prawo odwołania itd.".

Ostrze na ostrze

JAK NALEŻY ZWALCZAĆ INTERESANTÓW?

W wielu dziedzinach naszego życia powojennego odczuwamy dotkliwy brak sił fachowych. W związku z tym prowadzona jest na szeroką skalę piękna akcja dokształcania zawodowego. Doszła jednak do nas ostatnio smutna skarga urzędników instytucji publicznych, iż mimo wielokrotnego wzrostu ich liczby w stosunku do stanu przedwojennego, potrzeba doszkalania tej licznej gromady nie została należycie przez czynniki decydujące uwzględniona.

Zapomniano np. o największej bolączce życia urzędniczego, jaką jest — interesant! Niektórzy urzędnicy biernie godzą się z istnieniem tego zła koniecznego, większość jednakowoż nie ustaje w jego skutecznym zwalczaniu. Bardzo słusznie to czynią: o ileż bowiem sprawniej funkcjonowałyby urzędy, dążąc do im tylko wiadomych celów, gdyby nie było interesantów! Nie ma bardziej fałszywego mniemania, jak to, iż urzędy są dla obywateli!

A zatem — urzędnikom, rozumującym wyżej rozwiniętymi kategoriami, poświęcamy kilka poniższych uwag, które być może przydadzą się im w pracy zawodowej.

Przede wszystkim najwięcej szkody wyrządzają instytucji i ogółowi jej pracowników — urzędnicy uprzejmi. Interesant tak już bowiem przywykł do pogardliwego traktowania jego kłopotów, iż oswoił się znakomicie z tą anormalną atmosferą. I nagle — jeden taki wyrodek urzędniczej braci, niewczesny gorliwiec, potrafi wszystko zepsuć: otworzyć oczy interesantom, że przecież mogłoby być inaczej... Wtedy wybucha na nowo dawno zaniechana krytyka i narzekanie. Zniechęceni dotychczas nieuprzejmością interesanci zaczynają znów masowo napływać do urzędu, bo oto — objawił się tam uprzejmy urzędnik, który może jednak coś kiedyś załatwi...

Należy z kolei zwrócić baczną uwagę na niepokojący fakt, iż niektórzy woźni znudzili się indagowaniem każdego interesanta, w jakiej sprawie ma on zamiar niepokoić naczelnika. Przestali żądać przedkładania im do wglądu wszystkich podań, załączników i poświadczeń. Jako skuteczny sposób zwalniania tempa załatwienia sprawy, należy przypomnieć tym — nielicznym na szczęście — opieszałym woźnym ich obowiązek.

Pożądane jest wyznaczanie w każdym urzędzie, a w urzędach — w każdym wydziale innych godzin przyjęć, oczywiście — jak najkrótszych, tak, żeby interesant, zdezorientowany tracił jak najwięcej swego, z pewnością bezwartościowego czasu. Te godziny przyjęć są jak najbardziej właściwym czasem dla załatwiania wszystkich spraw osobistych urzędników, rozmów towarzyskich, telefonicznych, pobierania i rozdzielania przydziałów oraz biegania po innych wydziałach celem omawiania wewnętrznych spraw służbowych i personalnych.

Jeśli chodzi o szefów — powinni oni właśnie w tych godzinach z reguły odbywać konferencje międzyresortowe i przyjmować własnych podwładnych. Interesant nie zając — nie ucieknie, może przyjść następnego dnia.

W ogóle system nękania nieprzyjaciela, polegający na wydawanym bezapelacyjnym tonem rozkazie: „proszę przyjść jutro", lub lepiej jeszcze: „proszę zgłosić się za tydzień", albo: „dowiedzieć się za kilka tygodni" — bywa niezwykle skuteczny. Nigdy nie należy załatwiać sprawy od ręki, choć byłaby jak najprostsza. Można ją także przesyłać od urzędu do urzędu.

Wskazówka ta odnosi się również do prywatnych sklepów rozdzielczych. Najpierw należy załatwić klientów zwykłych, a potem dopiero nudnych „kartkowiczów", o ile możności, odsyłając ich do domu z kwitkiem i z poleceniem przyjścia po południu, lub innego dnia. Jeśli przydział przepadnie — tym lepiej. Oczywiście dla klienta — zaoszczędzi pieniądze, których ma i tak niewiele.

Nieliczni interesanci, którzy być może fizycznie przetrwają owe próby cierpliwości, z pewnością załamią się duchowo i trzeba ich będzie, jako niebezpiecznych dla społeczeństwa — izolować. Wtedy wywiesimy na drzwiach wszystkich urzędów tabliczki: „Interesantom wstęp surowo wzbroniony" — a życie urzędnicze potoczy się gładko, przyjemnie i bez przeszkód.

AVIS

Jadwiga Żylińska

SPRAWY POLSKIE W OPINII ANGIELSKIEJ

Czytając prasę angielską, trudno byłoby wywnioskować, że Polska była aliantką Anglii od r. 1939, że pewna część Polaków dotychczas żyje pod sugestią wiary w jej przyjaźń.

Rola Polski z r. 1939 została prawie zapomniana, a publicyści angielscy używają zwrotów, że Anglia przystąpiła do wojny „bez ani jednego przyjaciela lub naprawdę życzliwej strony" („Spectator"). W prasie pisze się mniej o Polakach jako o towarzyszach broni, a dużo więcej jako kłopotliwych imigrantach, których trudno się pozbyć. T.U.C. (Trades Union Congress) zajmuje wobec Polaków wyraźnie nieprzychylną postawę, przewidując w nich konkurencję taniego robotnika, a opinia przeciętnego obywatela Wielkiej Brytanii zarzuca Polakom uprawianie szmuglu i czarnego rynku we Włoszech i przenoszenie tych obyczajów na teren Anglii. „Nie ulega wątpliwości — czytamy w korespondencji „Manchester Guardian" z 29 października 1946 r. — „że dużo spośród przybyłych (z Włoch, przyp. mój) Polaków ma — według naszych wysoce cywilizowanych pojęć prawnych — kwalifikacje kryminalne".

Niestety, ta ujemna opinia angielska o społecznych wartościach Polaków ma swoje uzasadnienie. Wina za ten stan rzeczy rozkłada się na dużo czynników, przede wszystkim na okupantów, nie zmienia to jednak, a raczej potwierdza zarzut, że Polacy nie są narodem „wychowanym w społecznej odpowiedzialności" („Manchester Guardian" 25. X. 1946). Ten fakt w warunkach pokojowych nabiera w ocenie Anglików coraz większego znaczenia i bywa coraz więcej wygrywany w strefie brytyjskiej przez zdyscyplinowane i solidarne społeczeństwo niemieckie (por. Osmańczyk „Sprawy Polaków").

Do wyjątków raczej zaliczyć trzeba takie głosy, jak list podpisany „British Officer", a opublikowany na łamach „Manchester Guardian" w październiku 1946 r. „Polacy jako naród — czytamy — wytrzymali rekord wojenny, któremu żaden inny kraj nie może dorównać. Polska samotnie przyjęła uderzenie całej niemieckiej armii w r. 1939. Przez okres okupacji utrzymywała półmilionową armię podziemną, która bezustannie walczyła z wrogiem, co kosztowało Polaków tysiące istnień. Polscy lotnicy pomogli obronić Anglię w „battle of Britain" i dokonywali czynów godnych największego podziwu. Polacy bronili Tobruku i walczyli w pustyni. Pomogli wypędzić Niemców z Włoch — kiedy to autor niniejszego listu miał honor walczyć u ich boku". „Zbyt często Anglia i Ameryka zapominają też — czytamy w dalszym ciągu listu — że w pewnym momencie bez wahania zgodziły się odstąpić wschodnie tereny Polski w zamian za pomoc Rosji przeciwko Niemcom."

Z naszej strony słusznie moglibyśmy się spodziewać, że właśnie Anglia i Ameryka staną się najpewniejszymi gwarantkami naszych granic na Zachodzie. Stało się jednak inaczej.

Kiedy w roku 1939 Polska przegrała militarnie, było rzeczą oczywistą, że nie odzyska swojej niepodległości bez pomocy Aliantów i że tym samym nie ona będzie dyktowała warunki pokojowe. Konferencja w Jałcie ustaliła plan okupacji Niemiec oraz przyniosła pierwsze postanowienia alianckie w sprawie naszych ziem wschodnich. W następnych miesiącach po konferencji ówczesny premier Wielkiej Brytanii, W. Churchill zaczął nalegać na rząd polski w Londynie, ażeby w tej sprawie doszedł z Rosją do porozumienia. Kiedy Mikołajczyk udawał się w swoją pierwszą podróż do Moskwy „angielscy przyjaciele Polski, ci naprawdę chcący jej dobra sądzili, że z Moskwy odleci do Lublina, jak w innym czasie Benesz do Czech". („Odrodzenie" nr 55). Niestety, Mikołajczyk nie doszedł wówczas do porozumienia. Mimo to Churchill w dalszym ciągu nalegał „na natychmiastowe przyjęcie wszystkich propozycji moskiewskich, obiecywał odszkodowanie na Zachodzie po Nisę i Szczecin włącznie" („Odrodzenie" nr 55).

Nie można dostatecznie podkreślić faktu, że upieranie się rządu londyńskiego właśnie przy granicach wschodnich, na utrzymanie których nie było już realnych szans, a prześlepienie okazji gospodarczej i kulturalnej, jaką dawały ziemie zachodnie, osłabiły w opinii angielskiej naszą pozycję na Zachodzie i zdyskwalifikowały nas mocno jako odpowiedzialnych partnerów politycznych. Życzeniem Anglii było bowiem, ażeby w wyniku porozumienia polsko-rosyjskiego powstał rząd, składający się w jednej trzeciej z Polaków w Londynie, w jednej trzeciej ze Związku Patriotów i w jednej trzeciej z ludzi z kraju, na co Rosja się również zgadzała.

W rezultacie stało się inaczej, niż chciał rząd angielski i jeszcze bardziej inaczej, niż chciał były rząd polski w Londynie, który budował na przegranej Rosji. Brak orientacji politycznej byłego rządu polskiego w Londynie zaszkodził nam w opinii angielskiej bardziej, niż to sobie na ogół uświadamiamy.

Z chwilą, gdy porozumienie polsko sowieckie zostało zawarte nie według projektu Wielkiej Brytanii, zainteresowanie jej dla niego przybiera formę negatywną, a prasa brytyjska raz po raz wytyka Polsce, że jest „satelitą Rosji". Jednocześnie zaczyna się w Anglii dyskusja co do naszych granic zachodnich. Zresztą „Nie pierwszy to raz ludzie zdradzili swych przyjaciół, ażeby ułagodzić swoich wrogów" („Time and Tide" August 1946). Istotnie Anglikom udało się Niemców ułagodzić. Nie znaczy to jednak, ażeby naprawdę chcieli zmienić nasze granice na Zachodzie. Chcieli Niemców sobie pozyskać, ale nie mają zamiaru wszczynać wojny o to, ażeby Szczecin należał do Niemiec.

Ostatnio nawet uznanie naszych granic zachodnich doszło do tego stopnia, że warszawski korespondent „Times'a" używa wyrażenia o terenach nad Odrą i Nisą — „recovered territories" (Ziemie Odzyskane) i to bez cudzysłowu. Prawdopodobnie pewną rolę odegrały tu „unanimous protests" (jednomyślny sprzeciw) ze strony wszystkich partii politycznych na zebraniu K.R.N. przeciwko mowie Byrnesa w Stuttgarcie.

Można zacytować wiele przykładów z prasy angielskiej, które dowodzą, że Anglia szuka na terenie Polski momentów zapalnych, możliwych do wykorzystania w rozgrywkach międzynarodowych.

Nie ulega wątpliwości, że skoro dziś, kiedy — dzięki porozumieniu z Rosją — setki tysięcy Polaków wraca do kraju. Rose Macaulay w „Time and Tide" (7 August 1946) rozognia kwestię ich pobytu w głębi Z.S.S.R. nie czyni to w imię interesów Polski. Dobro Polski wymaga bowiem, aby nie dała się wciągnąć do tych gierek politycznych Wielkiej Brytanii. Zresztą Anglia sama wie o tym dobrze.

Ale Anglia zaczyna sobie uświadamiać, że tu w Polsce — niezależnie od orientacji światopoglądowych — wytworzyła się nowa orientacja polityczna, której kierunek nie musi się pokrywać z linią interesów brytyjskich. Że nasz podziw dla Wielkiej Brytanii — nie potrzebuje się wyrażać w polityce — w służeniu jej celom, lecz raczej w naśladowaniu jej realizmu. Prawdopodobnie też w opinii angielskiej Polska jako partner polityczny tylko na tym zyska, a na pewno nie straci.

ASNYK

Felieton, jak wiersz liryczny, bywa niekiedy następstwem krótkiego spięcia uczuć lub myśli. Siedzę oto nad dopiero co wydaną książką prof. Adama Krzyżanowskiego p. t. „Wiek XX" i dziwię się w niej dwum rzeczom: po pierwsze temu, że poważny uczony zacieśnił swą analizą historyczną wieku XX wyłącznie do dziejów Niemiec i Anglosasów, oświadczając zagadkowo w przedmowie, że „trudno mu było zastanawiać się bliżej nad polityką rosyjską, ponieważ nie miał zamiaru uwzględnić polskiej"; po drugie, dziwię się, i to jeszcze mocniej, niespodziewanemu zakończeniu dzieła naukowego motywem poetyckim: profesor cytuje mianowicie fragmenty z Asnyka. Do czego to podobne? — myślę: — poezja, a więc imaginacja i marzycielstwo, zamyka badawczą pracę, która z natury swej winna być rzeczowa? Gdy się tak dziwię (jak owa dziewucha u Sienkiewicza: „Widzisz? — Widzę. — A dziwujesz się? — Dziwuję się"), odwiedza mnie znajomy poeta i powiada, że wraca właśnie od Tuwima, którego widział ostatni raz przed siedmiu laty. Tuwim zestarzał się — mówi — zmienił się bardzo, wymizerniał, posiwiał. Przypominają mi się słowa Mickiewicza: „Oszpetniał, sczerniał, schudł, ale jakoś dziwnie wyszlachetniał". Ale przemianie Tuwima nie dziwię się: nerwowa i poetycka dusza musiała silniej niż inne odczuć okropności wojny i, przebolawszy ją, „stała się bliższa Bogu", jakby rzekł Słowacki. Sam zresztą Tuwim mówił niegdyś o poetach: „my jesteśmy ludzie zakrwawieni", trawestując niejako myśl Platona o tym, że być artystą, to znaczy mieć trudne życie. Znajomy poeta opowiada mi dalej, że zdumiał się temu, co Tuwim obecnie czyta. Wyłącznie Asnyka. Asnyk jest dzisiaj jego umiłowanym poetą. Uważa go za najgłębszego niemal i najmędrszego z poetów polskich. Rzeczywiście. Na pozór wydawać się może, że Tuwim — żywiołowiec i witalista w poezji — i Asnyk, myśliciel i filozof, to dwa bieguny. Jednakże (jakby powiedział Słowacki): dopóki człowiek młody, bawi go w poezji to i owo; lecz potem... potem zwiesza głowę nad Dantem, „pełnym cienia ale rozumu". Przychodzi chwila zadumy nad życiem, zwłaszcza gdy znuży nas ono przewcześnie i wyczerpie, jak to uczyniło w ciągu sześciu lat przerażającej wojny.

Tak się zrodziło krótkie spięcie niniejszego felietonu. Uczony profesor w swych rozważaniach naukowych odwołuje się do poety, znajdując prawdę historyczną w następujących jego słowach: „A przecież cała ta burzliwa siła, to zawsze tylko ciąg przeszłości dalszy; w jej łonie dawno jako zaród tkwiła, pragnąc osiągnąć rozwój doskonalszy". Jednocześnie nad tymże poetą rozmyśla inny świetny poeta. Może to się dzieje nie bez powodu? O uczonych, poetach, artystach, o jednostkach wybitnych w ogóle, mówi się przecie nieraz, że są niejako sejsmografami albo antenami przeżyć, doznawanych przez masy, przeżyć, których masy sobie nie uświadamiają, a które niby w ognisku skupiają się w duszach tamtych ludzi i znajdują potem wyraz w ich twórczości. Co to jest właściwie masa? Co ona czuje i myśli? Jechałem któregoś dnia w zatłoczonym tramwaju i dla zabicia czasu, starałem się badać twarze pasażerów, aby z nich coś wyczytać. Widziałem człowieka z tobołkiem, zapytującego wciąż konduktora, czy to już dworzec. Oprócz niepokoju, by nie przegapić przystanku, nic z jego twarzy wyczytać nie mogłem. Obok kobieta z dzieckiem miała twarz obojętną i zmęczoną, zupełnie bez wyrazu. Zabawiała dziecko, przytykając mu przed buzią palcami, ale robiła to automatycznie, tak odruchowo, jak doświadczalne psy Pawłowa wydzielały ślinę na dźwięk dzwonka, zwiastującego im pożywienie. Stary pan, siedzący na ławce, opierał się ciężko o laskę i wciągał coraz głębiej stopy pod ławkę, myśląc być może tylko o swych zastarzałych odciskach. Twarz umalowanej panienki była twarzą bezmyślnej laleczki, mrugającej sztucznymi rzęsami. I wszyscy inni podróżni wydali mi się ludźmi o jednako szarych i nieczytelnych obliczach, krzywiących się tylko irytacją, że w tramwaju ścisk i niewygoda. Wówczas i mnie również przypomniał się wiersz Asnyka: „Zmiennego bytu fało ty ruchliwa, co nas unosisz po wszechświata toni: daremnie wzrok nasz za tym wszystkim goni, co pod powierzchnią twoją się ukrywa". Cóż widzimy na tej powierzchni? Tylko „pianę zjawisk" zmąconą. A co jest pod nią? Oko nasze bezsilne przeniknąć ją. Tak filozofował Asnyk w sonetach „Nad głębiami". Nagle do tramwaju wtargnęła gromadka młodzieży szkolnej — zdrowa, hałaśliwa, bezwzględna w zdobywaniu miejsc. Natychmiast zaczął mi się w mózgu układać rytmicznie wiersz Asnyka „Do młodych". Szukajcie prawdy jasnego płomienia — poucza w nim Asnyk sokratycznie młodzież, i tłumaczy, dlaczego właśnie ona winna szukać prawdy. Bo: „każda epoka ma swe własne cele i zapomina o wczorajszych snach; więc nowy udział bierzcie w wieków dziele, przyszłości podnoście gmach". Jakie to piękne i proste — ta wiara w postęp i nieustającą ewolucję ludzkości — myślałem, patrząc, jak tęgie chłopaki dawali sobie w tłoku kuksańce z nadmiaru utajonej w sobie energii życiowej... „Trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe"... Jakże tam dalej u Asnyka? „Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy, choć macie sami doskonalsze wznieść. Na nich się jeszcze święty ogień żarzy, i miłość ludzka stoi tam na straży, i wyście winni im cześć". To też wniosek stąd jasny: „Prawdziwa mądrość niechaj nas pogodzi, bo wasze gwiazdy, o zdobywcy młodzi, w przyszłości pogasną znów". Albowiem przemijamy wszyscy. Dążeniem więc naszym powinno być to, by pozostawić po sobie ślad najpiękniejszy, pamięć dobrą i zyskać błogosławieństwo następnego pokolenia, nie złorzeczenie. Taka jest prosta filozofia ewolucjonizmu ducha, którą wyznawał Asnyk.

Czy życie jest równie proste? Oto pytanie. A może rzeczywiście w masach odbywa się jakiś — pod pianą zjawisk — nieuchwytny dla oka proces, który chciałby ostatecznie doprowadzić do pojednania sprzeczność, do zbudowania „nowego, wspaniałego" świata, nie niszcząc przecie fundamentów starego, ludzie bowiem, w jakichkolwiek żyją epokach, doświadczają zawsze tych samych uczuć miłości i powodują się tym samym pragnieniem szczęścia. Więc może nie bez powodu i uczony profesor i namiętny poeta zwieszają głowy nad Asnykiem....

A propos. Przypomina mi się nagle, że Asnyk umarł w roku 1897. Rok bieżący staje się jego rokiem jubileuszowym: pięćdziesiąt lat, pół wieku... My Polacy lubimy rocznice, aby w nich dokonywać obrachunków historycznych i rachunków sumienia narodowego. Rok ubiegły poświęciliśmy rocznicom Sienkiewicza, Prusa i Orzeszkowej, i z pewnością coś niecoś z tych rozpamiętywań jubileuszowych pozostało w naszych duszach. Poświęćmy bieżący rok Asnykowi, który był z tego samego pokolenia romantyczno-pozytywistycznego co tamci, ale być może bardziej od nich głęboki i myślący, i może bardziej duchem „przebolały", i dlatego tak łagodnie mądry i filozoficzny.

Jerzy Wyszomirski

Leopold Marschak

OD „NARODU PANÓW“ DO ROZDEPTANEGO „CAMELA“

(Korespondencja własna „Tygodnia“)

BERLIN, w styczniu.

— Czy nie uważa Pan, że Hitler był mimo wszystko geniuszem? zapytał mnie niedawno w Berlinie na oficjalnym przyjęciu pewien młody Niemiec.

— Geniuszem? Czy ma Pan na myśli geniuszy pickla — zapytałem — bo i tacy bywają...

— Oczywiście, — przytaknął nieco zmieszany, — ale czyż przeciętny człowiek potrafiłby w takim stopniu oddziałać na masy, jak to uczynił Hitler.

— Ma pan słuszność, odparłem, ale tylko ze swojego czysto niemieckiego punktu widzenia. Gdyż Hitler mógł być „geniuszem“ wyłącznie na tle waszej, ślepo posłusznej masy niemieckiej, zdolnej w imię praw dyscypliny do popełnienia nawet zbrodni. Ręczę panu jednak, że osobnik o typie i dążeniach Hitlera nie cieszyłby się ani powodzeniem ani długim życiem, gdyby zechciał propagować swe nauki w społeczeństwie francuskim, polskim, jugosłowańskim... Nie! Tego rodzaju geniusze mogą istnieć tylko „made in Germany“, nie posiadacie tego, co znajduje się we krwi wielu innych narodów Europy: odporności moralnej i odwagi wypowiadania własnych poglądów.

NIENAWIDZĘ NIEMCÓW!

Inna rozmowa tego samego wieczoru. Tematem ożywionej wymiany zdań w gronie anglo - amerykańsko - niemieckim jest ośmieszona już wielokrotnie sprawa denazifikacji. Zupełnie nieoczekiwanie pada z ust pewnej młodej Niemki (która jest narzeczoną porucznika armii amerykańskiej) zdanie: — jeszcze nigdy nie było w Niemczech tylu hitlerowców, ilu jest ich obecnie!

— Czy nie za śmiałe twierdzenie? Na czym je Pani opiera? pytają zaintrygowani dżentelmeni w mundurach.

— Bo życie przeciętnego Niemca jest dziś gorsze, niż było pod rządami NSDAP. Mało do jedzenia, chłód w mieszkaniach i absolutna niewiara w demokratyczną przyszłość. Jakiż to kontrast z waszym tu życiem!



„Łapanka“ na ulicach Berlina.



Najwyżej taksowani są Anglicy.

— Ale pani, replikuje ktoś z ironicznym uśmiechem, nie może się chyba uskarżać na swój los? Nie głoduje pani, a zwłaszcza w niedalekiej przyszłości czeka panią wyjazd za ocean.

— Ja — to co innego, wybucha impetycznie wysoka i urodziwa Fräulein. Wyjeżdżam, bo nie mogę patrzeć na to wszystko i nienawidzę własnego narodu.

Ich hasse Deutschen! podkreśla dobitnie każde słowo.

— I za cóż, jeśli wolno wiedzieć, tak bardzo nienawidzi pani swoich rodaków?

— Za wszystko! Za to, że przegrali wojnę i za to, że są dziś tak słabi wobec innych!

Panna, o ile mi wiadomo, była swego czasu w BDM. Pracowała w Wehrmachcie, jako „Nachrichtenhelverin“. Dziś nienawidzi Niemców nie za obozy, nie za kamery gazowe, nie za system okrucieństw, który ujawniła Norymberga, ale tylko za to, że nie potrafili ujarzmić innych narodów. I, widocznie dlatego, panna woli dziś gwiaździsty sztandar za oceanem, niż wdeptaną w ziemię hitlerowską swastykę, której jeszcze do niedawna tak wiernie służyła.

ULICA

Przytoczyłem te dwie, najzupełniej autentyczne rozmówki, aby wprowadzić Czytelnika polskiego w atmosferę niemieckiej współczesności, atmosferę, która otacza nas w Berlinie już od dłuższego czasu i gęstnieje coraz bardziej. Innymi oczyma patrzy się na Niemców z perspektywy ulic Marszałkowskiej czy Piotrkowskiej, inaczej widzi się ich zbliska, na Karfürstendamm w Berlinie, gdzie są obywatelami I klasy.

Przez sześć lat wojny propaganda hitlerowska usiłowała wmówić w świat, że Niemcy są narodem panów, że nie ugną się przed nikim i przed niczym i że to oni przeznaczeni są do przewodnictwa w Europie.

Teorie te budowane były na ogłuszających „Sieg Heil!“, którymi tłuszcza hitlerowska witała każde publiczne wystąpienie krwawego maniaka, tak w

(Dalszy ciąg na str. 6-ej)

ZGŁASZAMY KANDYDATURY DO NAGRODY „TYGODNIA“

Przyznanie nagrody „Tygodnia“ za najlepszą książkę polską, wydaną w latach 1945—1946 wchodzi w okres bezpośredniej realizacji.

Skład sądu konkursowego został już ustalony. Na zaproszenie redakcji „Tygodnia“ Ministerstwo Kultury i Sztuki, Zarząd Główny Związku Literatów Polskich i Zarząd Spółdzielni Wydawniczej „Tydzień“ delegowały już swoich przedstawicieli.

Tak więc Ministerstwo Kultury i Sztuki reprezentować będzie wiceminister *Leon Kruczkowski.*

Związek Zawodowy Literatów Polskich — *Jarosław Iwaszkiewicz* i *Juliusz Żuławski.*

Spółdzielnię Wydawniczą „Tydzień“ — *Jerzy Wyszomirski.*

Redakcję „Tygodnia“ — *Zbigniew Mitzner.*

Zgodnie z ustalonymi warunkami nagrody sąd konkursowy poprzedzi głosowanie Czytelników. Poniżej podajemy pierwszy kupon do głosowania, który należy wypełnić i przesłać pod adresem redakcji „Tygodnia“, Warszawa, Szpitalna 5, m. 8, w terminie do dnia 10 lutego rb.

ZASADY GŁOSOWANIA SĄ NASTĘPUJĄCE:

1. Głosować można na wszystkie książki polskie wydane na terenie Rzeczypospolitej w latach 1945 — 1946. Wyłączone są tłumaczenia z języków obcych i wznowienia książek wydanych przed 1-ym września 1939 r.
2. Można natomiast głosować na książkę, będącą wznowieniem dzieła, którego pierwsze wydanie ukazało się na emigracji lub też jako druk podziemny w latach 1939—1945.
3. Każdy z Czytelników ma prawo przesłać jedną tylko kartę do głosowania, wypełniając ją co najwyżej pięcioma tytułami.
4. Głosy członków Spółdzielni Wydawniczej „Tydzień“ i prenumeratorów „Tygodnia“ liczą się podwójnie.
5. Dziesięć kandydatur, które w głosowaniu Czytelników uzyskają największą ilość głosów, będzie przedstawionych Sądowi celem wyboru jednej książki, której autorowi przyznana będzie nagroda.
6. Gdyby Sąd Konkursowy uznał, że wśród zgłoszonych kandydatur nie ma — według jego opinii — godnej otrzymania nagrody ma on prawo wyznaczoną sumę 100.000 zł. podzielić między jedną z książek, wysuniętych przez czytelników, i książkę, która nie uzyskała większości w głosowaniu lub też w ogóle nie została w głosowaniu wysunięta.
7. Czytelnicy, biorący udział w głosowaniu, których opinia co do przyznania nagrody zgodna będzie z ostateczną decyzją Sądu, otrzymają premie książkowe z autografami autorów.

NAGRODA „TYGODNIA“

za najlepszą książkę polską wydaną w latach 1945-1946

Zgłaszam następujące kandydatury:

1. Autor ....
   Tytuł książki ....
2. Autor ....
   Tytuł książki ....
3. Autor ....
   Tytuł książki ....
4. Autor ....
   Tytuł książki ....
5. Autor ....
   Tytuł książki ....

Imię i nazwisko głosującego ....

Adres ....

Czy jest Pan(i) prenumeratorem „Tygodnia“

Czy jest Pan(i) członkiem Spółdzielni Wyd. „Tydzień“.

Aleksander Then

W OBLICZU NOWEJ ENTENTY

W chwili, gdy w Paryżu dokonywał się ostatni akt konstytuowania Czwartej Republiki, w Londynie nastąpiło wydarzenie, które stanowi ostatni wyraz przeobrażeń politycznych, jakim w ciągu ostatnich dziesiątków lat ulega Europa. Oficjalna zapowiedź rychłego zawarcia sojuszu brytyjsko - francuskiego stanowiła dość nieoczekiwany wynik ewolucji, jakim ostatnio ulegał system sojuszów, a jednocześnie przeciwstawia się zdecydowanie projektom Winstona Churchilla, oddania hegemonii w Europie po godzonym Niemcom i Francuzom.

Sojusz brytyjsko - francuski nie jest w historii politycznej Europy żadną nowością. Wypływa on z naturalnego założenia, że jedyną potęgą europejską, która może zakłócić pokój, są Niemcy i dlatego każdy sojusz brytyjsko - francuski nosi wszelkie cechy sojuszu obronnego.

Pierwszym sojuszem brytyjsko-francuskim była „Entente Cordiale". Powstała ona zupełnie niespodziewanie po wiekowych walkach, po nieprzerwanych okresach wojen na lądzie i morzu między Anglią, a Francją. Od chwili upadku Napoleona do pierwszej wojny światowej musiał upłynąć cały wiek, w ciągu którego między obu państwami toczyła się bezkrwawa już rywalizacja i wyścig kolonialny. Ale w tym samym okresie pod bokiem obu mocarstw wyrastała nowa potęga, której podwaliny dał Fryderyk Wielki, ale która skonsolidowana została na ciele ciężko rannej pod Sedanem Francji przez Bismarcka. Że szybki wzrost tej potęgi widziany był z Paryża, którego bruk ugniatał w r. 1871 pruski żołdak — to było objawem naturalnym. Kto wie, czy właśnie stąd starzejący się pod rządami swej żywotnej matki, Wiktorii, książę Walii Edward nie dojrzał tego samego niebezpieczeństwa, które w wielkim dosycie ery wiktoriańskiej nie było tak dobrze widzialne z Londynu. Wszak wielki Disraeli zrobił wszystko, by Anglię i jej surową władczynię uszczęśliwić na długie dziesiątki lat. Przecież jeśli cokolwiek imponowało żelaznemu kanclerzowi Niemiec, to Anglia właśnie. I polityka Bismarcka szła konsekwentnie po linii utrzymania jak najlepszych stosunków z Anglią i z Rosją.

Ale Bismarck odszedł, gdyż nie było dlań miejsca obok młodego, ambitnego fanfarona politycznego, jakim był Wilhelm II, „dear cousin" Edwarda. A polityka Wilhelma była odwróceniem polityki Bismarcka. Została związana z polityką austriacką, przez Bismarcka zwalczaną na wszystkich odcinkach. Została skierowana przeciw Rosji, bo polityka austriacka była antyrosyjska. Została zwrócona przeciw Anglii, gdyż Wilhelm chciał stworzyć z Niemiec potęgę morsko - kolonialną, rywalizującą z Anglią.

Edward nie cierpiał Berlina, a kochał Paryż. Ale w jego politycznym myśleniu ten czynnik emocjonalny nie odgrywał większej roli. Mimo całej lekkości trybu życia księcia Walii, był on świadomym naczelnej zasady polityki brytyjskiej, zwalczania najsilniejszego na kontynencie. A tym najsilniejszym zaczynały być Niemcy wilhelmowskie. Należało tylko przełamać wiekowe uprzedzenia i animozje między obu sąsiadującymi przez kanał La Manche narodami. Nie było to łatwe ze względu na wielkie różnice charakterów. „Entente Cordiale" nie mogła być małżeństwem z miłości. Ale była nader szczęśliwym małżeństwem z rozsądku.

Trzecim partnerem w entencie była carska Rosja. Trzy człony, trzy różne ustroje: monarchia konstytucyjna, republika i monarchia absolutna. Różnice te nie przeszkadzały w niczym trójczłonowemu sojuszowi.

Edward VII nie doczekał owoców swej dalekowzrocznej polityki, która doprowadziła do klęski Niemiec w pierwszej wojnie światowej.

Po wojnie sojusz brytyjsko - francuski został odnowiony. Ale era „balance of power" już minęła. Rosja ze swym nowym ustrojem pozostała przez szereg lat w izolacji, polityka włoska była kapryśna, do nowej kombinacji politycznej wciągnięto zatem mniejsze państwa zagrożone przez Niemcy. To Francja, dzierżąca w pierwszym powojennym okresie hegemonię polityczną w Europie, gromadziła wokół swej polityki mniejsze narody. Na zachodzie Belgię, na wschodzie Polskę i Czechosłowację, na południowym wschodzie Jugosławię i Rumunię. Polityka brytyjska pozostała w tym okresie bierna. Anglii wystarczał sojusz z Francją i Belgią, która z niego zresztą wkrótce wypadła, wracając do statutu neutralności, mającego dać jej większe gwarancje bezpieczeństwa, aniżeli sojusz. Dopiero pod wpływem bezpośredniego niebezpieczeństwa niemieckiego, w ostatniej chwili przed wybuchem drugiej wojny światowej Polska miała zastąpić w entencie Rosję, nie wnosząc jednak równorzędnego potencjału zaczepno-odpornego przeciw odrodzonej potędze Niemiec.

Dziś, z perspektywy czasu i na tle wypadków, jakich widownią była Europa w epoce wojującego faszyzmu można stwierdzić, że najbardziej zbliżoną do ideału konstelacją polityczną Europy w pozycji obronnej przeciw Niemcom było harmonijne powiązanie systemu sojuszów na zachodzie z systemem sojuszów na wschodzie. Zarówno Belgia, jak i Polska leżą na głównych szlakach starć wielkich mocarstw i dlatego ani polityka neutralności, ani samodzielna polityka obronna nie mogą mieć żadnych szans powodzenia. Na zachodzie Belgia i Wielka Brytania powinny były być włączone w system obronny francuski, na wschodzie Polska winna była być złączona w jednym systemie obronnym ze Związkiem Radzieckim. Oba systemy winny były być związane łańcuchem sojuszów. Żaden układ multilateralny nie mógł gwarantować Europie większego bezpieczeństwa. Ani kowenant Ligi Narodów, ani pakt Briand - Kellog. Tymczasem z tego idealnego systemu pozostał w praktyce tylko sojusz brytyjsko-francusko - polski, w dodatku obarczony doktrynerskimi obciążeniami statutu Ligi Narodów, który nie pozwalał na pełne rozwinięcie sił wszystkich trzech partnerów jednocześnie w dniu najazdu niemieckiego na Polskę.

Europa drogo zapłaciła za zaniedbania sojuszowe okresu międzywojennego. Najdrożej zapłaciła Polska za swą pełną megalomanii samodzielną politykę mocarstwową, do której potencjałem swym nie dorosła, za odżegnywanie się od sojuszu z Rosją, która jedynie mogła dać walczącym beznadziejnie z przewagą niemiecką pomoc armii sowieckiej i zaplecze, przygotowane na strategiczny odwrót armii polskich.

Dziś, wszystko przemawia za tym, że Europa zbliża się coraz bardziej do owego idealnego systemu sojuszów, mającego jej zapewnić bezpieczeństwo przed ewentualnym przyszłym nowym najazdem niemieckim. Po odrzuceniu wszelkich kombinacyj z blokiem zachodnim, operującym mieczem obosiecznym, zaczyna się utrwalać system wzajemnego powiązania systemów sojuszów zachodniego i wschodniego, przy czym system wschodni jest już od dłuższego czasu bardziej konkretny od zachodniego. Rosja posiada długoterminowe sojusze z Polską, z Jugosławią i z Czechosłowacją. Ogromnym ponadeuropejskim łukiem Rosja związana jest sojuszem z Francją i z Anglią. Brak było jako naturalnego ogniwa w tym systemie: sojuszu brytyjsko-francuskiego.

I właśnie dokonuje się wiązanie jednego z tych brakujących ogniw sojuszu brytyjsko - francuskiego, które następuje po wizycie szefa brytyjskiego sztabu imperialnego, marszałka Montgomery'ego w Moskwie, uważanej słusznie za akt wzmocnienia i uaktywnienia sojuszu brytyjsko - sowieckiego. Sojusz brytyjsko - francuski jest jednym z najbardziej naturalnych, albowiem obie ostatnie wojny wykazały, że nawet wspólna obrona obu mocarstw z trudnością może wytrzymać impet niemieckiego najazdu, albo nie może go wytrzymać w ogóle. W obu wypadkach tylko związanie systemu sojuszów bliskich z systemem sojuszów dalekich, zachodnich ze wschodnimi, pozwoli Europie przeciwstawić się skutecznie stałemu potencjonalnemu niebezpieczeństwu niemieckiemu.

OD „NARODU PANÓW" DO ROZDEPTANEGO „CAMELA"

(Ciąg dalszy ze strony 5ej).

czasie pokoju jak i w dobie wojny. Rzeczywistość dzisiejsza zadała kłam wszystkim, tak buńczucznie głoszonym teoriom. Przyszły dziejopis niemiecki, o ile będzie historykiem uczciwym i bez stronnym, zada sobie niemało trudu, aby móc wytłumaczyć współczesnym przyczyny tak przepastnej różnicy, jaka już po raz drugi, wystąpiła w okresie powojennym, między pangermańską teorią, a prawdą o życiu Niemiec.

Spójrzmy na ulice Berlina, zejdźmy na stację kolei podziemnej, zajdźmy na niemiecki dancing, wmieszajmy się w zziębnięty, skupiony na przystankach tramwajowych tłum. Oto Niemcy dzisiejsze:

przechadzam się po peronie U-bahnu, trzymając w ustach papierosa. Czuję, nieledwie na swoich plecach pożądliwe spojrzenia kilku stojących za mną Niemców. Jeden podbiega nieproszony, a usłużny z informacją: „następny pociąg nadejdzie za 7 minut". I patrzy na mnie wyczekująco, jak żebrak. Dziękuję sucho, papierosa nie dam. Zaciągam się dymem i dopiero, kiedy niedopałek „Camela" parzy mi



Dziś policja niemiecka nie mogąc sięgnąć po cudzoziemców, zgarnia z zapałem do policyjnej „budy" własnych rodaków

wargi, ciskam go na ziemię, odchodzę kilka kroków dalej i kątem oka patrzę na to, co będzie. Widziałem: trzech naraz rzuciło się na niedopałek, omal się nie pobili. Jak psy, którym dano kość pod stołem. Mój „informator" był młodszy i szybszy, chwycił resztki „Camela", włożył do cygarniczki, a gdy wsiadałem do pociągu, jeszcze mi się z daleka nisko ukłonił.

TARGOWISKO

„Cafe Wien" w sektorze brytyjskim Berlina. Jak zwykle w sobotę jest tu dziś gwarno i tłoczno. Dancing przy niesłodzonej zbożowej kawie i farbowanych coctailach. Tłum się kłębi na sali, a w tłumie przeważają kobiety. Są bardzo młode, zaledwie dzieci, są i nieco starsze ze śladami dawnej berlińskiej elegancji na ramionach: lisy, kołnierze futrzane, pelerynki. Siedzą tu godzinami, czekają i tańczą. W braku mężczyzn często jedna z drugą. Każdy dżentelmen w mundurze, witany jest spojrzeniem pełnym nadziei, a gdy się zbliży zwalnia się pospiesznie jedno krzesło przy stoliku, a nuż zatrzyma się i usiądzie. Na tej pseudo-towarzyskiej giełdzie, najwyżej taksowani są Anglicy, odkąd zniesiony został zakaz zawierania małżeństw z Niemkami. Oficer lub żołnierz przy stoliku to zapowiedź wypalenia kilku dobrych papierosów, to smak prawdziwej czekolady w tabliczce, to wizja dobrze ogrzanego pokoju i kolacji przy kieliszku, to wreszcie szansa zdobycia wymarzonego „amie" na teraz, a może i może w przyszłości.

Bo czyż właśnie dziś nie walczą tak dzielnie synowie ojczyzny wielkiego Roosevelta o prawo poślubiania Niemek? Czyż nie zapowiedział sierżant armii amerykańskiej Schrader, że wyrzeknie się amerykańskiego obywatelstwa, jeśli mu władze nie udzielą zezwolenia na ślub z umiłowaną Fräulein?

(Dokończenie w następnym numerze)

Edward Ligocki

Szukam Ketlinga...

Działo się to już bardzo dawno, choć ledwie 6 kalendarzowych lat dzieli nas od tych czasów, gdy opuszczaliśmy obozy szkockie, przenosząc się na zimowe leże do miasta. Był to w naszym żołnierskim życiu moment dość ważny, mieliśmy bowiem pożegnać się z namiotami, z wilgocią, błotem i zimnem i zaznać wreszcie innych jakichś, bardziej cywilizowanych warunków. Dość mieliśmy wszyscy tej wegetacji, w ciągłym oczekiwaniu Bóg wie na jakie zmiany i niespodzianki — a tu wciąż wisiało ołowiane Szkockie niebo nad nami, deszcz mżył i mżył, i ciężkie krople sączyły się zwolna po twardych liściach wiecznie zielonych rodendronów i laurów, razrastających się bujnie po rozległych parkach zajętych przez wojsko. Żyliśmy w tych parkach zupełnie jak owce, łażące wciąż po górach i łąkach, i z równą obojętnością jak one na późne brzaski szarych, lepkich dni, i wczesne zmierzchy długich, ciemnych, posępnych nocy jesiennych.

Trwała tymczasem sztywna, urzędowa tajemnica, i nic nie było oficjalnie wiadomo, dokąd pójdziemy, aczkolwiek wszystkie Szkotki po okolicznych osiedlach i panie kantyniarki, starające się nas na próżno rozgrzać herbatą i płytami gramofonowymi, wiedziały dawno, że celem załadowania będzie miasto Dunfermline. Niewielkie, czterdziestotysięczne miasto fabryczne trochę na północ od Edynburga, za fiordem, przez który przerzucono za czasów królowej Wiktorii długi, wieloprzęsłowy most kolejowy, uważany za jeden z 3 cudów Szkocji. Nie wiadomo dlaczego przyplątała się do tego mostu taka sama legenda, jak do rzymskiej fontanny Trevi — każdy, kto tamtędy po raz pierwszy przejeżdża musi rzucić miedziaka w morze, a nigdy już tego mostu więcej nie zobaczy, o ile nie zapłaci daniny.

Miasto, do którego wreszcie dowlokły się nasze pociągi, zadymione, szare, zjeżone kominami przędzalni i odlewni, nie wyglądało nazbyt ponętnie, chociaż z daleka już przyciągała oczy dość spora gotycka katedra i rudo-szara masa średniowiecznej ruiny, garnąca się do wzgórza. Gdzieś w wieku XIV, za czasów naszego Kazimierza Wielkiego, ów Dunfermline był stolicą Szkocji, w okresie gdy za wodą w Edynburgu siedzieli Anglicy. Niewiele z owych czasów zostało, prócz katedry, ruin i królewskiej ongiś rodziny potomków Roberta Bruce'a, wciąż jeszcze dzierżącej prym w okolicy. Dziś również senior rodu Bruce'ów, hrabia of Elgin and Kincardine, jest namiestnikiem królewskim w tych stronach, czyli wojewodą, mówiąc po polsku. W mowie potocznej mówi się o nim po prostu Lord Elgin, skracając nieco przydługie nazwisko. Mówię tu trochę dłużej o tej rodzinie, gdyż wkrótce Lady Elgin stała się częstym gościem w sztabie naszej brygady, a kilku spośród nas — gośćmi w starym, wielkim dworze Elginów, w Broomhall, o kilka mil od miasteczka. Lord Elgin wziął również sprawy Polaków do serca — i jeszcze dziś jest prezesem dużego Szkocko-Polskiego Towarzystwa, mającego swe ugrupowania w całym królestwie jego przodka Roberta.

Pierwsza moja wizyta w tym domu była tym bardziej interesująca, że skojarzyło mi się w myślach nazwisko Elginów z tym rozdziałem „Pana Wołodyjowskiego", gdy młody, urodziwy żołnierz w czarnym aksamicie i koronkach, ze złocistą brodą, przedstawia się Krzysi Drohojowskiej zamiatając piórami kapelusza podłogę i mówiąc „jestem Hasslin Ketling of Elgin". Miałem więc podświadome wrażenie, że coś polskiego czeka na mnie w Brommhall.

Wrażenie to jeszcze podkreślone zostało zewnętrznym wyglądem dworu — gdyż dom podobny doskonale znaleźć się mógł w Polsce. Mnóstwo u nas podobnych budynków, na całej przestrzeni Rzeczypospolitej, ze Stanisławowskiego okresu — dwa piętra, portal, wsparty o smukłe kolumny, pięć czy sześć schodów, taras, rozległy trawnik i grupy drzew i krzewów wokoło.

Proporcje tylko trochę inne ,niż u nas — Broomhall wygląda, jak gdyby rozbudowano nadmiernie ów dwór, dodając dwa przydługie skrzydła, przez co budynek wydaje się niższy, niż nasze rezydencje polskie. Wchodzi się do wielkiego, bardzo wysoko sklepionego hallu, i tu wrażenie swojskości znika, gdyż cała przestrzeń, ze stosunkowo wąskim przejściem pośrodku, zastawiona jest mnóstwem egipskich rzeźb i sarkofagów.

Dziad właściciela był sławnym egiptologiem, wielkie zbiory jego są dumą British Museum, ale mnóstwo zabytków znalazło się i w jego domu rodzinnym. Owa nuta egipska nadaje jakiś inny, muzealny ton, który jednakowoż znika, gdy przejdzie się do dalszych pokoi. Z tego wielkiego hallu wchodzi się do typowego okrągłego salonu, z kopulastym sklepieniem na wysokości drugiego piętra. Nieraz widywałem takie salony po dworach polskich — takie same stiukowe ściany, ornamenty w reminiscencjach greckich, rozety pod sufitem — takie same meble z okresu Cesarstwa i Ludwika Filipa — podobny styl ram i obrazów na ścianach. Nie tylko inne pokoje, ale również i rozkład przypomina nasz sposób budowania. Sala jadalna taka sama jak w Polsce — za to wychodzi się z niej do ogrodu, przez wielkie oszklone drzwi, wprost na wystrzyżony i wiecznie zielony, pod szkockim deszczem, trawnik. Daleko, za grupami różnokolorowych drzew, mieniących się złotem i czerwienią jesienną, chwiał się, nad fiordem, srebrzysty balon zaporowy na długim sznurze, przypominający obecność swoją, że jednak trwa wojna — i że to, takie bliskie sercu polskiemu wnętrze leży gdzieś, Bóg wie jak daleko, pod kręgiem polarnym prawie, na tej długiej wyspie, wybiegającej gdzieś w północne morza i zaopatrzonej w biegun. Bo przecież nie daleko stamtąd, trochę dalej na północ, zaczynają się już nagie góry, karłowacieją lasy, a jeszcze dalej, na Zentland i Shetland, nie ma już w ogóle drzew, tylko łąki kamieniste, krzewy marne żarnowca, posępność i mgły... Z myślą tą o ziemi obcej, dalekiej, harmonizował wiszący wprost drzwi od ogrodu portret gospodarza, w uroczystym stroju kawalera orderu Ostu-Knight Comander of the Thistle — czarny aksamit i srebro, kilka kolorowych plam różnych orderów. Szkoci uważają oset za symbol swego kraju — pełno tu ostów, rytych w kamieniu, w metalu, wyszywanych na sztandarach — podobnie jak róża Tudorów w Anglii, a ongiś lilia burbońska we Francji.

Lady Elgin przypuszczała zapewne, że interesuje mnie ogromnie malarstwo, gdyż zatrzymywałem się przed każdym obrazem — ale w tym domu szukałem czegoś innego, prócz dzieł dobrego pędzla. Szukałem znajomej twarzy wychylającego się z ram, — owego Sienkiewiczowskiego kawalera z koronkową kryzą i uroczystą brodą — szukałem kogoś, kto wyglądałby jak Ketling of Elgin, w domu Elginów. Zapytałem o Ketlingów — ale nigdy tu nie słyszano takiego nazwiska. Zapytałem czy jest w bibliotece Sienkiewicz — ale tylko „Quo vadis" i „Ogniem i Mieczem". Obejrzałem wszystkie portrety rodzinne — ale nikt nie spojrzał na mnie z ram spojrzeniem Ketlinga, którego szukałem tu mimo woli w dalekim, szkockim dworze. Zdałem sobie sprawę, że Sienkiewicz użył zupełnie przypadkowo nazwiska Elgin, pisząc ostatnie tomy trylogii. Jest przecież na północy Szkocji miasteczko Elgin, jest hrabstwo Elgin, małe województwo nad morzem, niedaleko Invernesse, gdzie stoi dotąd zamek Króla Mackbetha — i gdzie się kończy Lock Ness — to długie bardzo wąskie jezioro, w którym żyje ponoć po dziś dzień ów potwór, o którym tyle pisano przed wojną.

Ów absolutny brak związku między dworem Elginów a naszym polskoszkockim Ketlingiem sprawił mi jakby zawód. Spodziewałem się znajomej twarzy, uśmiechającej się z ram — w tych murach, które mogłyby stać w Polsce, i tak doskonale harmonizować z krajobrazem i atmosferą.

Lady Elgin była trochę zdziwiona, gdy mówiłem jej o tym wszystkim, w samochodzie, którym wracaliśmy do miasta. Był to jakiś nowy szczątek legendy wiążący się pozornie co prawda — z nazwiskiem. Był nalot — noc już dość późna, białe smugi reflektorów krzyżujące się nad Dunfermlinem, a w ich poblasku pojawiały się chwilami zarysy katedry i ruin królewskiej ongiś fortecy Bruce'ów.

Trochę mi było żal, że Sienkiewicz nie był w Szkocji przed napisaniem Trylogii.

Gdyby znał te stare, posępne mury, te legendy o pomordowanych królach, o Robercie i Dawidzie Bruce'ach — to sylwetka Ketlinga byłaby mniej abstrakcyjna. Byłoby w niej, prócz świetnie skomponowanego portretu Szkota w służbie polskiej — coś żywszego jeszcze. Zresztą kto wie, czy pisząc o Ketlingu, Sienkiewicz nie myślał o Patricku Gordonie, pułkowniku w służbie polskiej za Jana Kazimierza, który w filiacji dalszej, przez Morstinów i Czartoryskich, miał stać się pradziadem Stanisława Augusta. Mniejsza zresztą o to, jak mu się wyśnił nasz polski Ketling — dość, że została legenda, ta legenda, która odżyła przede mną w Broomhall, w starym dworze Elginów.

Stefan Olpiński — król hochsztaplerów polskich

Warszawa roku 1926 i lat późniejszych, Warszawa polityczna i przemysłowa miała na ustach magiczne słowo: Stefan Olpiński — on ci wszystko załatwi. Jednocześnie krążyły wieści o jego niesłychanych sprawkach. Władze bezpieczeństwa z ówczesnym naczelnikiem, Mieczysławem Lisowskim z Komisariatu Rządu na czele rozkładały bezradnie ręce i szeptem wycedzały słóweczka takie, jak: siła wyższa. Wychodzący w tym czasie w Warszawie „Głos Prawdy" pod redakcją Wojciecha Stpiczyńskiego, miotał na Olpińskiego istne kubły oskarżeń — z których każde miało swoje uzasadnienie. Olpiński chodził sobie spokojnie po mieście, pierwszą klasą jeździł po prowincji i najspokojniej w świecie „urzędował" z najwyższymi dostojnikami państwowymi. Wystarczy stwierdzić, że był w posiadaniu biletu wizytowego ówczesnego premiera Walerego Sławka, polecającego wpuszczać Olpińskiego o każdej porze dnia i nocy do każdej instytucji państwowej, nawet do... Belwederu. Tym tłumaczyć należy potęgę „władzy" Stefana O. Wszystkim znane były konszachty hochsztaplera, ale również wszyscy byli bezsilni. Jak już rzekłem — „Głos Prawdy" podjął generalny atak na niego. A tu nagle sensacja.

Było to tak. „Głos Prawdy" przez swoją niesłychanie lekkomyślną, a raczej chaotyczną gospodarkę zalegał wobec wszystkich współpracowników z pensjami i honorariami.

W redakcji szemrano, ale nie było tak odważnego, któryby mógł wywołać pałacową rewolucję.

Nie pamiętam, którego to marcowego dnia było ówczesnego roku 1928, gdy na czołowej stronie „Głosu Prawdy" ukazał się znowu artykuł, specjalisty do spraw hochsztaplerskich, Bronisława Tkaczyka, ogłaszający niesamowitą aferę Olpińskiego pod znamiennym tytułem: „Kiedy wreszcie władze bezpieczeństwa zajmą się międzynarodowym hochsztaplerem, Stefanem Olpińskim?". Gazeta była rozchwytywana, a popołudniu — mogła być godzina 17 — otwierają się drzwi gabinetu naczelnego redaktora i do ogólnego pokoju wchodzi... Stefan Olpiński, witając nas słowami: „Panowie redaktorzy pozwolą, że przedstawię się jako nowy dyrektor administracyjny. Jestem Stefan Olpiński". Wszystkim nam zamarł oddech. Olpiński miał jednak na tyle wyczucia taktu, że nie podszedł do żadnego z nas, by podać rękę. „Wiem, że wydawnictwo zalega z pensjami. Dopiero pół godziny temu, jak doszedłem do porozumienia z miarodajnymi czynnikami w sprawie objęcia administracji „Głosu Prawdy". Nie miałem jeszcze możności zmobilizowania odpowiednich kapitałów na zaspokojenie pretensji Panów. Na razie mogę dać drobne zaliczki w wysokości 500.— (pięciuset!!! — ówczesne warunki!) złotych. Natomiast jutro do południa otrzymają Panowie resztę. Mam wrażenie, że uda mi się wyrobić dla Panów pożyczkę bankową (!!!), w jakiej wysokości, jeszcze nie wiem". Głucha cisza. Olpiński podchodzi do jednego, do drugiego i płaci nowiutkimi 50 złotówkami. Nikt z nas nie odezwał się do niego słówkiem. Nazajutrz kasa wypłaciła całą należność. Redaktor naczelny „Głosu Prawdy", Wojciech Stpiczyński, już był chorowity. Leczył się w Otwocku. Trudno było się dowiedzieć, jakim cudem Olpiński dostał się do „Głosu Prawdy" i skąd wziął nagle pieniądze na wyrównanie zaległości. Fakt jednak pozostał faktem, że dziennik ten przeżywał wówczas okres swej największej, prosperity.

„Głos Prawdy" — to tylko przejściowy etap w życiu Olpińskiego na drodze do zdobycia „zaszczytnego" tytułu hochsztaplera. Przeszedł bowiem do hrabiego Donnersmarcka, a od niego do księcia na Pszczynie. Zaopatrzony w autentyczną plenipotencję stale je w Warszawie i Krakowie. Co rok zmienia żonę. Jedna piękniejsza jest od drugiej. I przystojne. Miał w tym kierunku Olpiński wyjątkowy gust. Na ubieranie swych „żon" łożył olbrzymie sumy. Sam nie pijak, lubił, gdy oblubienice jego „szampanowały". Lecz, jak to mówi przysłowie „póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie". Olpińskiemu urwało się z chwilą wytoczenia mu przez prezydenta miasta Warszawy, Stefana Starzyńskiego głośnego procesu drożdżowego. Wówczas Olpiński czmychnął do Niemiec. I tu wszedł w kontakt z Goebbelsem. Mając pieniądze docierał do najwyższych sfer przemysłowych. Poznał córkę pewnego potentata przemysłowego, ożenił się z nią, zapominając o swych polskich małżeństwach. W Berlinie wydaje antypolską agencję, której przedstawicielem warszawskim jest rzekomy ex-szofer Piłsudskiego, Migula. Z chwilą wybuchu wojny znajduje się w Paryżu jako szpieg niemiecki, wkrada się w łaski gen. Sikorskiego i... pozostaje w tymże Paryżu po wkroczeniu armii niemieckiej. Co tam robi — tajemnica.

Luty roku 1943. Oświęcim. Wpadają do mnie nieżyjący już dzisiaj, zamordowani przez SS-manów, Stanisław Targowski, b. dziennikarz i radca Najwyższej Izby Kontroli Państwa i Henryk Weber, b. radny miejski i właściciel restauracji przy ul. Chmielnej i Trębackiej z wiadomością, że do obozu przywieźli Olpińskiego, który zachowuje się niezwykle wyzywająco, cieszy się wielkimi względami wydziału politycznego i w ogóle — sypie.

W trzy tygodnie później, Stefan Olpiński, już nie żył. Koledzy postarali się o to, by nałożył na siebie tyfusową koszulę. A z tyfusu trudno było się wyleczyć.

Cz. St.

Koronki WENECKIE

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

z cyklu „Nowele włoskie"

odcinek trzeci.

I jeżeli w tę noc wenecką, leżąc w zimnym pokoju, to zapalając, to gasząc lampę przy łóżku, przypominałem sobie z trudnością minione dzieje tej znajomości, to zakończenie jej wypłynęło w mej głowie tak całkowicie, tak wyraźnie, tak plastycznie, jak mało który obraz mej młodości. Zakończenie to, to był może najosobliwszy tydzień, jaki mi owe czasy dały — i to nie dla zdarzeń zewnętrznych, których był pozbawiony, ale dla tego wewnętrznego napięcia, tego uroku, jakim był przepełniony, prawdziwy pierwszy tydzień życia odczuwanego.

Są takie momenty, nie zaznaczone żadnym wielkim zdarzeniem, żadną wielką sprawą, a przepełnione tylko jak naczynie po brzegi odczuwaniem życia. I wtedy mała podróż, serdeczna rozmowa, widok pięknego pejzażu czy nawet pojedynczego drzewa, nabiera swoistego, jemu tylko właściwego znaczenia i świeci jak jasna plama we mgle naszego dalszego istnienia.

Ja wówczas mieszkałem w Kijowie, a Zosia w Warszawie. Kończyłem niby to uniwersytet, ale w głowie miałem zupełnie co innego. Były to pierwsze czasy mej twórczości i upajałem się nią jak alkoholem. Zosia chodziła już na jakieś kursy uniwersyteckie czy Wolną Wszechnicę. Zaraz po Bożym Narodzeniu listy Zosi zagęściły się, przychodziły co dwa dni i przynaglały gwałtownie, abym przyjechał do Warszawy. Na razie wydawało mi się to niemożliwe: przede wszystkim byłem zajęty pisaniem, po drugie nie miałem pieniędzy. Zresztą zastanawiałem się, czy rzeczywiście mój przyjazd jest taki niezbędny? Co się właściwie dzieje? Zosia nie precyzowała nic, tylko coraz gwałtowniej pisała, iż „wszystko" zależy od mojego przyjazdu. Nawet życie... itd. itd., jak to potrafią pisać egzaltowane kobiety.

W zasadzie nie miałem nic przeciwko takiej eskapadzie. Nie widziałem Zosi od czasów Szapijowa prawie wcale; raz tylko jeden minionego lata przejeżdżała przez Kijów na nową jakąś posadę. Spędziłem z nią dwa dni na spacerach i rozmowach. Przechadzaliśmy się po Kupieckim Ogrodzie, patrzyliśmy na niebieską taflę Dniepru, jak gdyby rozszerzającą się ku górze i wciągaliśmy nozdrzami woń heliotropów, posadzonych po obu stronach ścieżek. Trzeba jednak przyznać, że w ciągu tych dwóch dni nie powróciliśmy do tonu dawnych rozmów, ani nie odnaleźliśmy tego kontaktu, jaki — zdawało się — miały nasze myśli w listach. Istniała między nami jakaś tajemna przegroda. Przypisywałem to raczej pewnemu niezżyciu się naszemu i obcości, którą wprowadzało długie rozłączenie. Byłem wówczas zresztą bardzo przepracowany.

To samo było teraz. Upadałem ze zmęczenia. Uczyłem się wiele, pracowałem zarobkowo — a ponadto budził mnie czasem w nocy gwałtowny zew. Siadałem do stołu i pisałem jakieś fantastyczne opowiadanie, na poły splecione z przeżyć, na poły z lektury. Zima była mroźna, za oknami leżał głęboki śnieg. W moim pokoju było bardzo zimno i ręka marzła nad papierem. Cały tryb mojego życia więził mnie, zamykał, nie pozwalał na kontakty z ludźmi. Myśl o wyjeździe na pewien czas do Warszawy była bardzo ponętna.

Trzeba było tylko dostać gdzieś pieniędzy. Przypomniałem sobie bogatego kolegę, który mieszkał na wsi na drodze pomiędzy Kijowem a Warszawą i który na pewno zechce mi pożyczyć owe trzydzieści rubli, potrzebne mi na tygodniowy pobyt w Warszawie.

Decyzje moje powziąłem trochę jak we śnie. Bawię się czasami, kiedy samotnie siedzę na jakiejś ławce, na ulicy lub w parku, w chwytanie momentu decyzji, która mnie do powstania z ławki zmusza i przyznam się, że nigdy ulowić go nie potrafię. Tak samo nie mogłem zmiarkować, kiedy się na ten wyjazd zdecydowałem i jakim sposobem już wysiadałem przed gankiem domu mojego przyjaciela. Był zimny lutowy dzień, rozpoczęło się we mnie magiczne działanie owego tygodnia. Świadomość jak gdyby rozszerzyła się czy pogłębiła i dokładniej przejmowały mnie wszelkie dane zewnętrzności, które przenikały do mojego wnętrza za pomocą zmysłów. W kilkugodzinnym pobycie moim u mojego przyjaciela mieściło się już całe przeczucie Zosi, chociaż wszystko w zimnych i wysokich pokojach tego domu było inne, niż w ciepłym szapijowskim dworze latem, kiedyśmy z nią i z Oswaldem spędzali wieczorne godziny w szarym saloniku.

Obraz dwuletniej naszej przyjaźni rozwijał się w mej głowie podczas, kiedy rozmawiałem z tu obecnymi ludźmi, żartowałem i śmiałem się. Dom mojego kolegi był domem wesołym — jednak obraz tej dziewczyny z czarnymi warkoczami, które upinała na głowie à la Dante Rossetti, przez cały czas nie znikał mi z oczu. Po raz pierwszy tutaj odczułem niepokój z powodu Zosi, po raz pierwszy — nagle wyrwany z krainy marzeń i wyobrażeń w jakiej dotychczas przebywałem — zastanowiłem się nad powodami, dla jakich ona mnie wzywała, i zrozumiałem, że muszą one być dość ważne, skoro apel jej brzmiał tak poważnie.

Kolega mój zatrzymał mnie na obiad, pożyczywszy oczywiście owe trzydzieści rubli, i obiecał mnie po obiedzie sam odwieźć na warszawski pociąg. Myśli widać moje, bo mówiłem mało, naprowadziły rozmowę na temat przyjaźni pomiędzy kobietą i mężczyzną. Sam nie wiedząc jak, stałem się gorącym obrońcą tego ideału i aczkolwiek kpiono sobie ze mnie w żywych słowach opisywałem urok takiego stosunku. Kiedy mój kolega odprowadził mni na stację — w futrzanej czapie i wspaniałej szubie — powiedział mi na zakończenie jako starszy i doświadczony przyjaciel: „Na twoim miejscu nie wierzył bym tak bardzo w tę czystą przyjaźń pomiędzy mężczyzną a kobietą!"

Jadąc w wagonie rozmyślałem o tym powiedzeniu i uśmiechałem się z lekka. Nie wierzyć tym listom? Tym szczerym wypowiedziom Zosi? Przecież ona o wszystkim do mnie pisała, ja może byłem mniej szczery w stosunku do niej, ale ona? Nie pisałem jej, na przykład, nic o tym, że zacząłem pisać, ale co to ją obchodzi? Ona wspomniała mi parę razy o Oswaldzie, mówiła, że widuje w dalszym ciągu profesora Żalwata... dawała mi nawet do zrozumienia, że kocha się w profesorze... takie różne babskie sprawy... Zdrzemnąłem się.

Powietrze w Warszawie było zupełnie inne: ani śladu mrozu, ani śladu śniegu. Na ulicach prawie wiosennie, stosownie do różnic kalendarza tam był jeszcze luty, tutaj zupełny marzec. Już sama ta przemiana atmosfery, powiew od szarej Wisły, poblask słońca na dachach i promienie padające przez żółte zasłony do niebieskiej kawiarni, sam dźwięk języka polskiego na wiosennych trotuarach upajał już mnie — a cóż dopiero Zosia. Zosia wydała mi się wtedy piękna, chmurna, ogromnie zajęła swoją osobą. Wbrew wszystkim gwałtującym listom, kiedy zatelefonowałem do niej po przyjeździe, wydała się lekko zdziwiona. Przez cały dzień nie mogła się ze mną zobaczyć i dopiero wieczorem na chwilkę wpadłem do niej. Wychodziła do teatru.



Zastałem ją w domu, już ubraną w suknię perłowo - popielatego koloru, z kołnierzykiem z weneckich koronek...

Zastałem ją w domu samą, już ubraną w piękną suknię perłowo - popielatego koloru, z kołnierzykiem z weneckich koronek u szyi. Siedziała jak gdyby zgnębiona w fotelu i nie wstała na moje powitanie. Kiedy ją pocałowałem w rękę, zarumieniła się, wyrwała dłoń z mojej, i powiedziała szybko:

— Pocóżeś przyjechał?

Popatrzyłem na nią zdziwiony.

— Zosiu, wzywałaś mię przecie?

— Ty zawsze bierzesz wszystko dosłownie. — A potem jak gdyby przezwyciężała jakąś myśl, która ją tłoczyła, dodała bez uśmiechu:

— No, doskonale, że przyjechałeś, będzie nam dobrze przez parę dni. Ale naprawdę, nie trzeba było przejmować się moimi listami. Wiesz., że jestem wariatka.

Spojrzałem na nią uważnie. Twarz jej zmieniła się, oczy zaszkliły, brwi stale ściągała w nieprzyjemny grymas, pobladła bardzo, ale i wypiękniała.

— Chciałaś przecie, żebym był przy tobie? Prawda?— zapytałem może czulej, niż sobie życzyłem.

— Tak, ale nie trzeba spełniać wszystkich moich zachcianek — powiedziała poważnie i nie patrząc na mnie.

To była pierwsza i ostatnia istotna rozmowa w ciągu tego tygodnia, który spędziłem przy niej. Reszta podobna była do bajki. Nagle wyrwanie się z zamkniętej kijowskiej atmosfery, wrażenie podróży, towarzystwo Zosi stanowiło w sumie wrażenie pochłaniające wszystkie inne. Przyznam się, że od tej chwili przestały mnie właściwie obchodzić losy Zosi. Przyjmowałem nadpływające wypadki, spotkania, chłonąłem obrazy i interesowało mnie tylko to, w jaki sposób odbijają się one w moim wnętrzu. Zresztą nie działo się nic nadzwyczajnego. Warszawa w marcu: suche trotuary, niebieskie niebo, Wisła w oddali; sklepy na Nowym Świecie, skromne, ale noszące jakieś swoiste piękno. Rękawiczki brązowe u Kowalskiego, pachnące zamszem, tort w kształcie błyszczącej kapusty u Lardellego naprzeciwko Foksalu. Chodzenie po kościołach, rozmowa o sztuce, dziecinna jeszcze prawie, ale zachwycająca ze względu na swą pychę: jacy my mądrzy! Jak umiemy rozstrzygać najpoważniejsze kwestie! Zdawaliśmy się sobie tak mówić, zajadając ciastka w „egipskich pokojach". Nawet do teatru chodziliśmy rzadko. Pamiętam Messalównę w „Luksemburgu", piękną jak anioł i dumną jak królowa, całą w piórach i w kwiatach, smukłą i uśmiechniętą i śpiewającą łabędzim głosem. Zjawisko nieuchwytne, symbol tego przelotnego szczęścia, jakiego doznawałem w tej chwili — jakiego doznawałem może jedyny raz w życiu tak zupełnie — nieosiągalne marzenie i jeszcze jeden temat do rozmowy z Zosią w blaskach marcowego słońca.

Pogrążony w niekontrolowanym odbieraniu wrażeń, zajęty wewnętrznym fotografowaniem przepływającego obok mnie świata, nie zastanawiałem się nad tym, co się działo w duszy mojej przyjaciółki. Na pozór była bardzo wesoła, i po pierwszym dniu zawsze miała czas dla mnie, nie rozstawaliśmy się prawie wcale. Dopiero po trzech dniach powiedziała mi, że się „dość często" widuje z Oswaldem Sosnowskim. Kiedy powiedziałem, że chciałbym go spotkać, zbyła mię pogardliwym „cóż ci potem". Nie tylko w tych słowach zauważyłem trochę lekceważenia: drobna doza, jeden odcień pogardy był w tym, jak mnie traktowała. Trochę tej pogardy, jaką ma kobieta dla dziecka, dla chłopca, pogardy nie wolnej od macierzyńskiej czułości.

Dzisiaj dopiero, nie śpiąc w weneckim hotelu, zacząłem sobie zdawać sprawę, jak dalece był skomlikowany bądź co bądź nasz stosunek. Wówczas przyjmowałem wszystko tak naturalnie, to właśnie jest może przywilej młodości, że jeszcze może nie dostrzegać w rzeczach na pozór zwyczajnych tej skomplikowanej tkaniny przyczyn i skutków, z jakiej się składa każda znajomość, każda przyjaźń i każda miłość.

Za to o profesorze Zosia nic nie mówiła. Wiedziałem z listów, że słuchała jego wykładów. Potem kilkakrotnie przemknęło jej nazwisko w opisach jakichś zabaw, w sprawozdaniach z wieczorków... Sam sposób prześlizgujący się lekko, z jakim to nazwisko wymieniała, niepokoił mnie trochę. Ale w Warszawie o tym zapomniałem, mówiliśmy zupełnie o innych rzeczach. I nie widziałem go przez cały czas mojego pobytu. Dopiero w ostatnią sobotę, w wigilię mojego wyjazdu poszliśmy całą gromadą z moimi kuzynami, z małą siostrą Zosi na scating - ring w Aleje Jerozolimskie. W gwarze, jaki napełniał naszą lożę, w hałaśliwym stukocie wrotek, Zosia siedziała milcząca i blada. Wówczas właśnie zjawił się Oswald. On to dopiero rozruszał Zosię, przede wszystkim wspominając szapijowskie czasy, potem zabierając ją na wrotki i jeżdżąc z nią po boisku; wtedy też spostrzegłem przez chwilę profesora. Ukłonił się z daleka Sosnowskiemu i Zosi, stał przez chwilę naprzeciwko naszej loży, wyprostowany, elegancki, zupełnie siwy, stary pan. Nie zaniepokoił mnie wówczas ani trochę, ale jednak jego sztywna postać wbiła mi się w pamięć.

Wieczorem, żegnałem się z Zosią w jej mieszkaniu, rodzice jej, mili, spokojni i bardzo w córce zakochani państwo, byli obecni przy tym, nie mogliśmy mimo wszystko mówić zupełnie szczerze. Peszyło mnie trochę, że właściwie mówiąc nie miałem Zosi nic do powiedzenia. Ona popatrywała na mnie z takim wyrazem, jakby się o coś chciała mnie zapytać, czy też jak gdyby czekała na gest lub słowo z mojej tsrony. Wiedziałem, że nie chodziło tutaj o miłość, ale może o rzeczy ważniejsze. To mi dopiero przyszło do głowy w wagonie, kiedy już wracałem do Kijowa. Zresztą także dopiero w wagonie, w czasie długiej dwudziestoczterogodzinnej jazdy, uprzytomniłem sobie, z jaką dziewczyną spędziłem ten tydzień — i ile zawdzięczam jej myśli, ile radości, ile prostych szczęśliwych chwil pod słońcem Warszawy.

Odchodząc, powiedziałem jej po prostu:

— Do widzenia, Zosiu, dziękuję.

Ona się zaśmiała i odwróciła oczy od moich oczu.

— Nie masz za co dziękować. To raczej ja tobie. Przyjechałeś z tak daleka

W ostatnich słowach brzmiało trochę ironii, trochę żalu.

— Zosiu — zawołałem, — dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

— Nie miałam ci nic do powiedzenia — te wyrazy wypowiedziała zimno, sucho, niedobrze. W ogóle nic nie miała w sobie w tym momencie z kobiecej dobroci.

— Zosiu — powiedziałem prosząco — przynajmniej mi napisz.

— Wiem, wiem — odpowiedziała, — napiszę, naturalnie, wszystko ci napiszę.

W wagonie powtarzałem sobie te ostatnie słowa. Po przyjeździe do Kijowa czekałem, aż napisze. Ale nie doczekałem się. Dostałem się w szalony wir zdarzeń, zdawałem egzaminy, kochałem się, pisałem. Pisałem bardzo dużo. Nie pamiętałem już o niczym z przeszłości.

(Dokończenie w następnym numerze)

Wojciech Bąk

Odbudowa Poznania

Przede wszystkim trzeba podkreślić fakt, że w Poznaniu odbywa się „odbudowa", a nie „przebudowa".

Oczywiście są gotowe najróżnorodniejsze projekty przebudowania Poznania. Nie mówiąc już o fantastycznych planach, których realizacja wymagałaby takiego wkładu kapitału, jakim dzisiaj miasto nie rozporządza i na długo nie będzie rozporządzać (na pomoc państwową trudno liczyć), nawet ładne i logiczne projekty nie mogły być wzięte pod uwagę. Z bardzo prostego powodu — Poznań nie może ich własną siłą zrealizować w krótkim czasie, pomoc zaś państwowa jak zawsze tak i teraz specjalnie omija Poznań. Miasto to nie ma szczęścia — zawsze dostaje ochłapki. Trudno rozstrzygać, czy to krzywdzące traktowanie miasta wynika z nieświadomej antypatii czy też z wiary, że Poznańczycy sobie jakoś dadzą radę. Naturalnie — wynikiem tego jest obciążenie Poznańczyków takim wysiłkiem gospodarczym, że mogą mu podołać tylko przy bardzo sumiennej pracy, oszczędności, konsekwencji i realiźmie. Żadne miasto nie jest tak obciążone jak Poznań, gdy się uwzględni rozmiar zniszczenia i nieproporcjonalnie małą pomoc państwową. Jest to stanowczo krzywda.

Zarząd Miejski wyszedł z jedynego słusznego w takich okolicznościach założenia: przede wszystkim w miarę możliwości „odbudować", a to dla zabezpieczenia ludności możliwych warunków życia. Piękne projekty, nie mówiąc już o zgoła fantastycznych, muszą ustąpić obecnie koniecznościom życiowym. Nie burzy się więc Zamku (byli fantaści, którzy uważali to za pierwszy obowiązek), gdyż jest i będzie on potrzebny dla celów uniwersyteckich, nie wysadza się w powietrze całych bloków dla „przyszłych świetnych" linii komunikacyjnych — cały nacisk jest położony na odbudowę. Przebudowa jest odsunięta na dalszy plan — i tylko o tyle się ją uwzględnia, o ile nie przeszkadza i nie hamuje odbudowy. Człowiek żywy, w tej chwili istniejący, jest sprawdzianem poczynań. To jest właściwie najistotniejszym kryterium...

Wobec minimalnej pomocy państwowej i niedostatecznej ilości kapitału miejskiego wciąga się i zachęca inicjatywę prywatną w dzieło odbudowy. W ramach obecnych warunków ustrojowych nie utrudnia się jej działalności, ale ułatwia.

Tej polityce rozsądnej zawdzięcza też miasto tempo odbudowy. W istocie rezultaty jej są wielkie.

Bez wielkiego szumu i hałasu miasto powoli powraca do normalnego wyglądu. Znikają ślady — nie znikły jeszcze! — zniszczenia.

Dzieje się to nawet dla Poznaniaków niepostrzeżenie. Jeszcze przed miesiącem sterczały wypalone szkielety domów — a dzisiaj już są widoczne ślady pracy, by po jakimś czasie stanął dom mieszkalny i prawie nie różniący się od normalnych domów. Dziury, zgliszcza nikną — a zjawiają się domy. Pełno zaś rusztowań w mieście w czasie odpowiednim do budowy.

Wszystko to, jak pisałem, dzieje się bez wielkich gestów, bez deklamacji — bez tyrad retorycznych. Niewątpliwie popełnia się także błędy (jakież ludzkie dzieło jest bez błędów), ale sumarycznie biorąc odbudowa rozwija się logicznie i ku zadowoleniu ludności.

Pamiętać zaś trzeba, że ludność Poznania jest wygodna. Nie chce ona mieszkać w piwnicach, na strychach, w klitkach. Marzeniem jej jest mieszkanie nie tylko higieniczne, ale komfortowe z wszystkimi udogodnieniami cywilizacyjnymi, które bardzo wysoko ceni. O tym marzy nie tylko kupiec — ale także robotnik. Może nawet robotnik więcej niż kto inny. Słowem — cała ludność.

Jest ona pracowita — ale w wyniku pracy chce dobrze zjeść i wygodnie mieszkać. Mniej wrażliwa jest na koncepcje, więcej na konkreta życiowe. Ma to swoje wady — nie trzeba jednak zapominać, że ma także swoje zalety. W przyspieszonym tempie odbudowy objawia się to pragnienie wygodnego życia, normalnych warunków pracy i możliwie bujnego rozkwitu przemysłu i handlu. Ludzie chcą żyć normalnie. Bez postów, głodówek i dachu zaciekającego nad głową. Żyć dobrze i utrzymać rodzinę w możliwym dobrobycie i bez lęku o przyszłość.

Pisałem już, że ten, kto widział Poznań bezpośrednio po oswobodzeniu od Niemców, powinien o ówczesnym obrazie miasta zapomnieć. Dziś jest inaczej. Instytucje funkcjonują normalnie, miasto zaś z każdym dniem więcej wraca do normalnego wyglądu. Są jeszcze całe połacie zburzone, ale jest coraz mniej ruin i zgliszcz. Przypuszczam też, że jeśli chodzi o wygodę życia, to chyba najwygodniej się żyje w Poznaniu. Nie jest to także do pogardzenia.

Żyje się najwygodniej, ale może także najskromniej w całej Polsce. Jak przed wojną zewnętrznie widzialna rozpiętość między różnymi warstwami w Polsce była w Poznaniu najmniejsza — tak samo dzieje się i dzisiaj. Robotnik jest podobnie ubrany jak inteligent, maniery jego są równie chłodno kurtuazyjne jak u inteligenta, w ogóle trudno jaskrawą różnicę zauważyć.

Restauracje nie są jednak przepełnione w Poznaniu. Zabawy są mniej częste i mniej huczne. Dochody raczej niskie u wszystkich. Mało jest „niebieskich ptaków". Żebraków nie widzi się wcale. W ogóle obraz raczej szary. Nie ma krzykliwego bogactwa — lecz także nie ma ostatecznej nędzy, zmuszonej do pokazywania się publicznie. Obrazów natrętnego żebractwa nie dostrzega się w Poznaniu wcale.

Pod tym względem niewątpliwie Poznań przedstawia się oryginalnie na tle innych miast polskich. Można taki typ miast lubić lub nie znosić — jest to sprawa gustu — trzeba jednak sobie zdać sprawę, że ta szarość ma także wysokie zalety, jeśli chodzi o współżycie społeczne i poziom ogólny ludności.

Kto tego nie rozumie — jest człowiekiem bardzo powierzchownym. Im zaś lepszy ma sąd o swej inteligencji, tym jest powierzchowniejszy. Nie znaczy to jednak wcale, bym Poznań uważał za ideał miasta. Tak nie jest — ale o tym potem.

Leopold Lewin

SŁOWACKI

Nie pomogły spacery nad modrym Lemanem —
Nie zapomni się nigdy o niezapomnianym;
Na nic zdały się smugi cyprysowych cieni,
I wybuchy błękitu, potopy zieleni,
Śródziemnomorskie świty, zachody z koralu,
I stromy lew mykeński nie uciszył żalu;
Po greckich akropolach i po Świętej Ziemi
Szedł z oczyma na północ wiernie zwróconymi
Tam, gdzie brzozowych lasów i pól gęsty wieniec
Opasał jego młodość, gdzie kwitnął Krzemieniec
Akacjami w uliczkach, astrami w ogródkach...
Jak zapomnieć o chabrach, liliach, niezabudkach,
Rwanych niegdyś nad Ikwą z dziecięcym uporem,
Jakże o nich zapomnieć nad obcym jeziorem!
Więc błądzi po wybrzeżu, słucha szmeru fali,
I czeka zmierzchu, kiedy w gwiazdy się skrzyształi.
Bo poprzez konstelacje, które skrami bryzną
Nad nim i utraconą tak wcześnie ojczyzną,
Rozmawiać można cicho z uroczym Krzemieńcem
I z sobą, zakochanym śmiertelnie młodzieńcem,
Który — jakże szczęśliwy i jakże daleki! —
W poszumach nadikwańskich pozostał na wieki.

Więc błąka się i duma o niezapomnianym
Poeta, zapatrzony w gwiazdy nad Lemanem.

Nowe książki

Adam Krzyżanowski, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. „Wiek XX" (Zarys dziejów najnowszych). Wydawnictwo Eugeniusza Kuthana. Warszawa — Kraków, 1947. Str. 353 i 3 nl.

Jan Dobraczyński. „Najeźdźcy". Tom pierwszy. Oficyna księgarska. Warszawa, 1946. Str. 447 i 1 nl.

Tadeusz Kwiatkowski. „Lunapark". Okładka i ilustracje Anny Seifert. Spółdz. Wydawnicza „Czytelnik". Kraków, 1946. Str. 167 i 1 nl.

Wojciech Bąk. „Piąta Ewangelia". Poezje. Wydawnictwo Władysława Bąka. Łódź — Wrocław, 1946. Str. 83 i 1 nl.

Wojciech Bąk. „Syn Ziemi". Poezje. Wydawnictwa Władysława Bąka. Łódź — Wrocław. Str. 136.

Roman Kołoniecki. „Elegie Zielonoświąteczne". Poezje. Wyd. Władysława Bąka. Łódź — Wrocław, 196. Str. 69 i 3 nl.

Leopold Staff. „Wiersze wybrane". Z portretem autora. „Czytelnik", 1946. Str. 182 i 2 nl.

Jarosław Iwaszkiewicz. „Wiersze wybrane". z portretem autora. „Czytelnik", 1946. Str. 239 i 1 nl.

Antoni Słonimski. „Wybór poezji". Z portretem autora. „Czytelnik", 1946. Str. 197 i 3 nl.

Janusz Minkiewicz. „Kazania i skargi". Z rysunkami Jerzego Zaruby. „Czytelnik", 1946. Str. 17 i 5 nl.

Marian Podkowiński. „Twarze przed lustrem". Powieść. „Oficyna Wydawnicza". Katowice, 1946. Str. 361.

Ze starych fraszek

Nagrobek urzędnikowi

Wielka była polityka
Tego pana urzędnika:
Nie dał zgorszenia nikomu,
Bo kradł zawsze pokryjomu.

Alojzy Żółkiewski (1777 — 1822)

Rzecz dziwna

Bóg człowieka z gliny stworzył —
Piszą historyje.
Jakoż on nie rozmoknie,
Gdy ustawnie pije?

Wespazjan Kochowski (1633 — 1700)

SPROSTOWANIE

Do wiersza Ryszarda Matuszewskiego pt. „Stół" („Tydzień" Nr 24) zakradła się omyłka drukarska. Ostatnie zdanie jego powinno brzmieć:

Stół, za którym
siedzę ja, wasz ojciec,
dźwigający go jak Atlas ziemię,
w aureoli z chmur,
— w obłoku pary z talerzy.

KRONIKA KULTURALNA

PAŃSTWOWY Instytut Książki, mieszczący się czasowo w Łodzi, przy ul. Narutowicza 59a, rozpoczął swoją działalność. Jest to zakład naukowo-badawczy, pomyślany jako ogólnokrajowy ośrodek badań, planowania i poradnictwa w zakresie wszelkich spraw, dotyczących książki, oraz różnych gałęzi wiedzy o książce, a więc bibliologii, bibliotekarstwa, bibliografii, statystyki księgoznawczej itp. Podejmując swą pracę, Instytut zwrócił się do redakcyj pism polskich z komunikatem, w którym prosi instytucje i osoby zainteresowane o nawiązanie z nim łączności i współpracę w wymienionych dziedzinach księgoznawstwa, obiecując wzamian pomoc naukową, techniczną, subwencyjną i wydawniczą. Nie ma potrzeby podkreślać, jak ważną rolę kulturalną może spełnić Instytut w powojennych czasach zniszczenia kultury.

●

JANUSZ MINKIEWICZ wydał tom satyr p. t. „Kazania i skargi". Złożyły się nań utwory, pisane obecnie (po wyzwoleniu), za czasów okupacji w Warszawie oraz rzeczy przedwojenne. Interesujący jest stosunek ilościowy tych grup wierszy: aktualne i okupacyjne zajmują 30 stron w tomie, przedruki przedwojennych zaś — 100 stron, przy czym nie wszystkie z nich są dzisiaj żywe, a nawet zrozumiałe dla przeciętnego czytelnika, i nie wszystkie wywołują tę reakcję śmiechu, co niegdyś: weźmy dla przykładu choćby takie satyry, jak „Hacha i A. H." lub „Redutę Kadena" — pamflet na nieboszczyka Kadena-Bandrowskiego i jego rządy w teatrach warszawskich. Z dysproporcji, jaka zachodzi pomiędzy nowymi i dawnymi rzeczami Minkiewicza, możnaby wyciągnąć wniosek, że wena satyryczna znakomitego poety osłabła, aczkolwiek śród wierszy aktualnych trafiają się doskonałe, np. „Pieśń o wazelinie" albo „Fraszka na Czesia i Staszka" (zgrabny pamflecik na Czesława Miłosza i Stanisława Dygata, jak to objaśnia dodany na końcu książki indeks osobowy). Możnaby snuć dalsze jeszcze refleksje, rozpatrując obecną twórczość satyryczną Minkiewicza na tle ogólnego dzisiaj upadku satyry w Polsce, czego dowodem są „Szpilki", „Rózgi", „Mucha" i „Kocynder". Rozwój gatunków literackich zależny bywa od epoki i prądów w niej panujących. Raz kwitnie liryka, kiedyindziej epika, kiedy indziej znowu satyra. Jeśli chodzi o tę ostatnią, możnaby historycznie orzec, że najlepsze warunki rozwoju miewa ona w czasach i ustrojach autokratycznych, którebyśmy nowoczesnym językiem określili jako „totalistyczne": czasy imperatorów rzymskich wydają Horacego i Juwenala; epoka tzw. tyranów we Włoszech — Aretina; absolutyzm hiszpański stwarza Cervantesa; owocem despotyzmu Ludwika XIV jest geniusz Moliera, samowładztwa zaś Mikołaja I — geniusz Gogola. W naszym, smutnej pamięci przedwojennym „totalniaku" sanacyjnym krzewiły się również talenty satyryczne Minkiewiczów, Hemarów, Lechoniów, Słonimskich, Karpińskich...

●

MAJA BEREZOWSKA jest osobliwym zjawiskiem psychologiczno-artystycznym. Mimo przekroczoną pięćdziesiątkę, mimo więzienie na Pawiaku i trzyletnią mękę w Ravensbrück, nie może swego oryginalnego talentu oczyścić nieco od nadmiaru sexu, graniczącego niekiedy z pornografią. Świadczy o tym obecna wystawa jej rysunków i obrazów w Łodzi. Nawet gdy Berezowska rysuje więźniarkę na Pawiaku, dostrzega w niej przede wszystkim cielesność: w jej wargach zmysłowych i kuszących, w jej bujnych piersiach. Demon płci nie przestaje nawiedzać Berezowskiej. Venus Vulgivaga pochyla się nad nią i owiewa oddechem artystkę, gdy tworzy. Cóż? Na początku była chuć — powiedział Przybyszewski. I chuć podobno stworzyła sztukę.

ST. ŁATKA

OBROTY WIĄZANE

Węgiel za zboże

W ubiegłym roku przeszliśmy wielkimi krokami daleką drogę gospodarczą od powojennego chaosu do pierwszego narodowego planu gospodarczego, od akcji o charakterze bojowym, przystosowanym do gospodarki wojennej do znormalizowanej gospodarki, opartej o plany daleko sięgające w przyszłość, harmonizujące działalność wszystkich sektorów naszego modelu gospodarczego.

Nie wszystko jeszcze zostało zrobione, bo zrobione być nie mogło. Ale w ciągu tego roku przyzwyczailiśmy się myśleć innymi kategoriami, nie tymi, którymi kierowaliśmy się — my wszyscy — za czasów okupacji. Uzyskaliśmy nadzwyczaj cenne doświadczenie, które zmusza nas patrzeć w przyszłość nie tyle z przesadnym optymizmem ile rozwagą, pozwalającą ocenić i wyzyskać realne możliwości, jakie życie gospodarcze naszego kraju nam przedstawia. Rok przyszły będzie rokiem zupełnej samodzielności gospodarczej. Dostawy UNRRA w małym już stopniu będą mogły wpłynąć na poziom pokrycia naszego zapotrzebowania w artykuły bezpośredniej potrzeby. Stąd też płynie konieczność jak najbardziej powszechnego i gospodarczego wykorzystania naszych własnych zasobów, przystosowania ich rozdziału do naszych hierarchicznie pojętych potrzeb, aby ani jeden cetnar zboża czy tłuszczów nie poszedł na marne, aby wreszcie trudności, na jakie natknąć się możemy, nie zatrzymały nas ani chwili dłużej, niż potrzeba w pracy nad odbudową Polski.

Jasne jest, że wszyscy dla tego dzieła świadczyć powinni. I robotnik i chłop i pracownik umysłowy powinni wykazać się pełnym zrozumieniem pracy i dyscypliny społecznej, powinni wypełniać obowiązki na nich ciążące. Przemysł starać się będzie na pewno o wykonanie planu produkcji, przeznaczonej na planowe zaspokojenie potrzeb produkcyjnych i konsumcyjnych naszego kraju oraz eksportu. Zagadnienie organizacyjnie łatwe, olbrzymia bowiem większość przemysłu jest w rękach państwa ludowego i podlega jego woli. Ale i tu mogą powstać trudności, o ile druga część naszego społeczeństwa — chłopi, — druga gałęź naszej rodzimej produkcji — rolnictwo — nie wypełni na czas swych zadań — wyżywienia wielkiej masy pracujących w fabrykach i miastach, umożliwiając w ten sposób im pracę. Powinni zaś to uczynić w dobrze zrozumianym interesie własnym zaopatrzenia się w potrzebne wsi naszej artykuły przemysłowe, których bez ich pomocy przemysł nasz nie będzie mógł wyprodukować.

Tak więc uregulowania wymiany między wsią i miastem, między przemysłem a rolnictwem domagają się tak względy społeczne, jak i gospodarcze. Względy społeczne to zrozumienie jedności, wiążącej nasze podstawowe klasy społeczne chłopa i robotników, w imię której wszyscy są powołani do jednakowych świadczeń na rzecz dobra ogólnego — odbudowy i rozwoju społeczno - gospodarczego naszego kraju. Względy gospodarcze — to interesy obopólne przemysłu i rolnictwa w utrzymaniu i rozwinięciu produkcji tak rolniczej, jak i przemysłowej.

Wieś nasza poddana była początkowo przymusowym świadczeniom na rzecz ludności nierolnej. Zniesienie świadczeń rzeczowych było pierwszym krokiem do normalizacji stosunków między wsią i miastem, a akcja „Przemysł dla wsi" była następnym, posiadającym już właściwie cechy normalnego obrotu. Zrozumiałe jest bowiem, że wartościom produkowanym przez rolnika musi być przeciwstawiony strumień dóbr przemysłowych, których rolnik potrzebuje bądź do produkcji, bądź do bezpośredniej konsumcji.

Zamknęliśmy właśnie pierwsze półrocze akcji „Przemysł dla wsi", która skierowała poważną część stojących do dyspozycji dla krajowej konsumcji artykułów przemysłowych na wieś. Ostateczna ocena tej akcji dziś może być przedwczesna — rolniczy bowiem rok gospodarczy kończy się dopiero w lipcu. Ale pewne doświadczenia wskazują, że uregulowanie tą drogą wymiany między wsią i miastem nie jest jeszcze całkowite

Przemysł w ogromnej większości wykonał swoje zobowiązania planowe. Strumieniowi jednak dóbr przemysłowych na wieś nie został przeciwstawiony odpowiedni strumień produktów rolnych do miasta. Zwłaszcza podaż zbóż była niedostateczna, na co wskazuje trwająca od nowych zbiorów zwyżka cen zboża, przekraczająca na niektórych obszarach 300% ceny wyjściowej z lipca (600 zł — 1900 zł).

Gospodarka chłopska kładzie większy ciężar na produkcję hodowlaną, niż na zbożową, hodowla bowiem, zwłaszcza przy obecnych cenach mięsa, jest bardziej rentowna. Zboże spasione przez wieprza da więcej producentowi rolnemu, niż sprzedane na rynku. Stąd olbrzymi — z innej strony bardzo dodatni — rozkwit pogłowia trzody chlewnej, które w niektórych okręgach, np. w lubelskim przekroczyło stan przedwojenny. Spasanie zbóż musi jednak ograniczać ich podaż na rynek, lub kierować ją do źródeł otrzymywania paszy treściwej (otrąb) najczęściej z nielegalnego przemiału poniżej dozwolonego procentu.

Z drugiej strony po zniesieniu świadczeń rzeczowych — wieś nasza rozporządza większą ilością gotówki, wstrzymuje się więc od podaży zbóż na rynek, opędzając potrzebne wydatki ze sprzedaży artykułów hodowlanych. Do tego przyłącza się jeszcze wywołana, najczęściej wrogą Polsce propagandą — nieufność do pieniądza, wobec czego zboże pozostaje najpewniejszą lokatą kapitału. Na tym wszakże nie koniec. Chłop potrzebuje artykułów przemysłowych w dużej ilości i bezwzględnie dla ich zakupienia sięgnie po zapasy kapitału, umieszczonego w zbożu, gdy produkcja hodowlana nie pozwoli mu tych potrzeb zaspokoić. Trzeba stwierdzić, że strumień artykułów przemysłowych nie dotarł w całości do wsi, wiele pozostało w mieście, lub dopływa do wsi po cenach spekulacyjnych.

Wten sposób co prawda nożyce cen przemysłowych i rolnych, rozwarte po zwyżce ziemiopłodów wybitnie na korzyść rolnika zostały znowu zamknięte, lecz korzyści z tego odniósł nie producent — przemysł państwowy i jego pracownicy, lecz prywatny spekulant.

Prywatni spekulanci podbijają ceny zboża i wykupują je nie będąc w gruncie rzeczy hamowani żadnymi ograniczeniami, podczas, gdy zorganizowany aparat handlowy — przede wszystkim spółdzielczość, podlegający ścisłej kontroli — został z rynku zbożowego w dużej mierze wyeliminowany. Oczywiście wysokie ceny zboża skompensowane są przez prywatnych spekulantów bądź na kieszeni konsumenta miejskiego, bądź producenta rolnego, płacącego wysokie, czarnorynkowe ceny za artykuły przemysłowe.

Ten stan rzeczy tolerowany być nie może. Uregulowanie podaży ziemiopłodów, jak i wymiany na dobra przemysłowe leży też w interesie klas pracujących miasta, jak i producenta rolnego. Wstrzymywanie bowiem podaży zbóż, lub kierowanie jej do rąk spekulanckich może się odbić z jednej strony na aprowizacji robotnika i inteligenta pracującego, z drugiej zaś może doprowadzić do analogicznego zjawiska jak w lipcu 1946 r., gdy rzucenie przez rolników w ostatnim okresie przed żniwami wszystkich zapasów zbóż starych doprowadziło do katastrofalnej dla rolnictwa zniżki cen ziemiopłodów.

Jedynym wyjściem rozwiązującym zagadnienie uregulowania wymiany wieś — miasto i skierowania jej na właściwe tory wydaje się być silniejsze związanie obrotu artykułami przemysłowymi, przeznaczonymi dla wsi z podażą ziemiopłodów. Tą drogą można bowiem będzie zapewnić też dotarcie artykułów przemysłowych na wieś, jak podaż zboża do właściwych ogniw aparatu handlowego. W ten sposób chłop będzie mógł zaopatrzyć się w artykuły przemysłowe po cenach godziwych, jak i z drugiej strony wypełnić swój obowiązek świadczeń na rzecz aprowizacji klas pracujących miasta.

Dyskusji może podlegać jedynie sposób przeprowadzenia obrotów wiązanych. Nie należy zapominać o podstawowych prawach ekonomicznych, regulujących podaż.

Zwiększenie podaży zbóż lub skierowanie jej na właściwe tory musi być przeprowadzone z korzyścią dla rolnika, czyli z faktycznym podwyższeniem ceny. Podwyżka może być przejściowa aż do chwili takiego wzmożenia dostaw obustronnych, które ustalą ceny na rzeczywistym stosunku podaży i popytu obydwu strumieni dóbr. A więc podaż zbóż powinna być związana z taką możliwością zakupu towarów przemysłowych, by dawała ona producentowi wyższą cenę, w stosunku do sprzedaży za gotówkę.

Dalszym zagadnieniem jest kwestia zasięgu obrotów wiązanych tj. czy ograniczenie ich do liczby kilku artykułów przemysłowych w zamian za zboże, czy też rozszerzenie tej bazy na wszystkie produkty rolnicze (a więc i hodowlane) oraz na całość artykułów przemysłowych. Wydaje się, że z uwagi na niewłaściwość uprzywilejowania wyłącznie gospodarstw produkujących zboże w większej ilości należałoby obroty wiązane rozszerzyć także na artykuły hodowlane, wciągając w ten sposób w uregulowany obrót całą produkcję wiejską. To samo odnosi się do zakresu artykułów przemysłowych. Należyte zaś rozłożenie dostaw artykułów przemysłowych na wszystkie warstwy społeczne wsi mogłoby być rozwiązane — do czasu rozwoju produkcji przemysłowej do takiego poziomu, by mogła ona bez reszty pokryć zapotrzebowanie wsi — drogą kart punktowych, zapewniających gospodarstwom lub osiedleńcom na Ziemiach Odzyskanych możność zakupu artykułów przemysłowych.

Jest to jednak zagadnienie dalszego rozwoju akcji obrotów tzw. wiązanych o których oczywiście nie można zapominać. Konieczności gospodarcze państwa jednak zmuszają nas do działania szybkiego na razie w zakresie ograniczonym, z możliwością dalszego rozszerzenia akcji.

Odrębną kwestią jest sprawa ustalenia stosunku cen przemysłowych do rolniczych, która wymaga odrębnego omówienia. Będzie ona jednak konieczna jako warunek unormowania wymiany wieś — miasto na bliższą i dalszą przyszłość.

Wreszcie ostatnim lecz nie najmniej ważnym warunkiem powodzenia akcji obrotów wiązanych jest sprawa ostatecznego uregulowania aparatu handlu rolniczego, aby działalność odśrodkowa niekontrolowanego aparatu prywatnego, nastawionego na spekulację nie rozsadziła jej założeń. W interesie wsi a także niewątpliwie w interesie ogółu leży, by aparatem wymiany była spółdzielczość, dająca najlepsze gwarancje solidności i uczciwości handlowej. A tej nam najwięcej teraz potrzeba.

St. S.

MUSIMY IMPORTOWAĆ

Po to, żeby wykonać plan odbudowy, po to, żeby się w ogóle odbudować, musimy przez dłuższy czas pozostawać w stanie t. zw. biernego bilansu handlowego t. zn. przywozić więcej, niż wywozimy. Innymi słowy musimy zaciągać zagraniczne kredyty towarowe. Ażeby mieć w świecie kredyt, trzeba wypełnić pewne warunki.

Tak już się ułożyło w międzynarodowych stosunkach handlowych, że kredytu udziela się temu, z kim prowadzi się interesy. Z tego wynika, że chcąc sprowadzać z zagranicy pewne towary, musimy inne towary eksportować, choćby w ilości znacznie mniejszej niż sprowadzamy. Nasza obecna polityka przywozowo - wywozowa polega tedy na tym, że staramy się jak najwięcej importować, eksportując tyle, ile jest konieczne z uwagi na potrzebę podtrzymania stosunków gospodarczych. Nie jest to utracjuszowskie „życie nad stan", bowiem import jest koniecznie potrzebny dla odbudowy, zaś odbudowa umożliwi nam w przyszłości wzmożenie produkcji i spłatę zaciągniętych zobowiązań obok podwyższenia stopy życiowej ludności kraju.

Dla uelastycznienia naszych obrotów zagranicznych stworzone zostało ostatnio Polskie Towarzystwo Obrotów Towarowych z Zagranicą. Dotychczas handel zagraniczny rozwijał się w ramach clearingu t. zn. wymiany towarowej. Brały w niej udział Państwowe Centrale Handlowe oraz Społem, które uzyskało sobie uprawnienia centrali. Inicjatywa prywatna jak również inicjatywa spółdzielcza poza centralą gospodarczą nie miały możności brania udziału w transakcjach zagranicznych. Organizacja Pol. Tow. Obr. Tow. z Zagr. pomyślana jest w ten sposób, żeby poza centralami państwowymi dopuścić do udziału w handlu zagranicznym szeroką inicjatywę prywatną i spółdzielczą. Kapitał Towarzystwa podzielony jest na trzy równe części odpowiadające trzem sektorom stanowią cym model gospodarczy naszego państwa. Przewodniczącym rady nadzorczej jest przedstawiciel spółdzielczości, jako sektoru wiążącego inicjatywę państwową z inicjatywą zespołów społecznych i poszczególnych jednostek gospodarczych. Poszczególni kupcy, czy spółdzielnie mogą występować z prośbą o zezwolenie na import towarów znajdujących się na liście artykułów dopuszczonych do importowania. Pierwszeństwo mają towary o charakterze inwestycyjnym, dalej artykuły pierwszej potrzeby, w ostatniej kolejności — luksusowe. Importowane w ten sposób towary mogą być sprzedawane na wolnym rynku.

Największą organizacją spółdzielczą biorącą udział w obrotach zagranicznych, największą zresztą organizacją poza państwowymi, działającymi na tym odcinku, będzie Społem. Społem posiada wypróbowany już aparat handlu zagranicznego, obsadzony przez fachowców, posiada korespondencję z trzydziestoma krajami i dziewięciu przedstawicieli zagranicznych. Ostatnio uruchomionych zostało 5 zagranicznych placówek handlowych tej instytucji w Gdyni, Zarach, (Śląsk Dolny), Rzepinie (Ziemia Lubuska), Zebrzydowicach i Przemyślu. Przygotowuje się placówka zagraniczna również w Szczecinie.

Zadania Polskiego Towarzystwa Obrotu Towarowego z Zagranicą są poważne skoro zważymy, że plan trzyletni przewiduje zwiększenie handlu zagranicznego o 250 procent w stosunku do przedwojennego. Jeżeli uwzględnimy ubytek ludności, będzie to wzrost trzykrotny na głowę mieszkańca.

Jak wspomnieliśmy, warunkiem importu jest eksport chociażby i mniejszy od przywozu. Jest to na razie jeszcze bolesna strona zagadnienia, bo nie bardzo mamy jeszcze co wywozić, nie zaspokoiwszy własnych tak bardzo piekących potrzeb. Musimy jednak rozglądać się za towarami, które będziemy mogli wywozić bez szkody dla siebie i tu trzeba zwrócić uwagę na pewne kategorie artykułów, które wprawdzie posiadamy, ale trudno nam jest je uchwycić. Jako przykład — zioła i grzyby. Spółdzielczość poczyniła pierwsze kroki organizując zbiór i przygotowanie odpowiedniego asortymentu ziół, stanowiących dzisiaj wcale niepośledni artykuł wywozowy. Teraz kolej na grzyby, gdzie również otwiera się szerokie pole działania przed spółdzielczością. Przed wojną istniała organizacja zbioru grzybów, która uległa rozproszeniu w okresie wojennym. Posiadamy bogate tereny grzybowe, zwłaszcza w województwie mazurskim. Należy tylko zorganizować ich zbiór, skup i suszenie. Uzyskamy wówczas nowy artykuł eksportowy, którego wywóz nie przyniesie nam żadnego uszczerbku, bowiem w stanie obecnym w ogóle z niego nie korzystamy.

m. s.

Pasożytnictwo przemysłu niemieckiego w Ameryce

Podpatrywanie tajemnic wielkiego kapitału, zazdrośnie zresztą strzeżonych, jest zajęciem wdzięcznym. Ma w sobie coś z polowania na grubą zwierzynę. Rzadko, czasem bardzo rzadko wychodzi coś „na strzał", ale gdy się już trafi, rezultat jest wart kłopotu.

Zupełnie rewelacyjne światło na stosunki pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Niemcami rzucają wyniki badań nad wieloletnią penetracją przemysłu niemieckiego w Ameryce, wyjaśniają mianowicie nieprzygotowanie najpotężniejszego przemysłowego państwa do wojny i „ciepły" ton w opinii Stanów o podbitych Niemczech.

Jeszcze na długie lata przed pierwszą wojną światową przemysł niemiecki pracował dla niej. Pracę tę podjął również teraz po zakończeniu wojny nie ustając ani na chwilę wzmacniać swoje, a osłabiać pozycje ewentualnych przeciwników.

Niemiecki przemysł, słabszy kapitałowo, dzięki absolutnemu podporządkowaniu zaborczym planom rządu, potrafił, wykorzystując demokratyczność amerykańskich urządzeń, mocno się za oceanem usadowić, pasożytując na gospodarce Stanów.

W dziale chemicznym np. niemieckie przedsiębiorstwa sztucznie hamowały rozwój Ameryki, sprzedając swe wyroby po cenach niższych od kosztów własnych, lub uzależniając sprzedaż brakujących Ameryce chemikaliów od zakupu innych, produkowanych na miejscu.

Gdy rozwój jakiegoś działu przemysłu w Stanach groził przerostem, Niemcy wynajdywali metody, by go stłumić. Gdy przed pierwszą wojną „Edison" rozwinął wytwórczość fenolu, niezbędnego przy wyrobie materiałów wybuchowych, niemiecki koncern „Bayer" obawiając się, że fenol trafi w ręce angielskie, zakupił przez swego agenta Schweitzera całą eksportową nadwyżkę tego artykułu.

Najciekawsze jednak wyniki osiągali Niemcy dzięki liberalnej polityce patentowej w Ameryce, i dzięki związkom kartelowym z firmami po drugiej stronie Oceanu.

Odpis aktu patentowego jest w Ameryce tani. Kosztuje 10 centów. Każdy go może kupić. Uzyskanie patentu też nie jest trudne, o ile w tej dziedzinie nie były zgłoszone patenty identyczne. O identyczności rozstrzyga sąd. Niemcy wobec tego stanu rzeczy stali się posiadaczami 27.000 patentów w Ameryce. Niczym nie ryzykowali, bo z opisu nie sposób jeszcze zorientować się w istocie patentu, sami zaś wytaczali moc procesów firmom amerykańskim o bezprawne wykorzystywanie patentów niemieckich. Jeśli nawet firma amerykańska w rezultacie udowodniła, że jej patent był oryginalny, zawieszenie korzystania z wynalazku w toku procesu strata czasu i kłopoty z tym związane, skłaniały nieraz firmę, by machnąć ręką „na" całą procedurę i dać Niemcom „odczepne" w formie ceny ich patentu.

JAK ZAWSZE — PACHNIE NAFTĄ

Czym byli Niemcy w światowej produkcji naftowej?

Do 1929 r. niczym. Złóż własnych prawie nie mieli, a kapitał ich nie grał poważniejszej roli w produkcji na obcych terenach. Jednak, dzięki wynalazkowi Bergiusa, który opracował metodę otrzymywania benzyny syntetycznej z węgla, niemiecki koncern „I. G. Farbenindustrie" doprowadził do zawarcia tajnej umowy z amerykańską firmą „Standard Oil" ustalającej warunki produkcji syntetycznej benzyny na przyszłość.

W tym czasie „I. G. Farbenindustrie" nie miały jeszcze praktycznej metody produkcji. Produkcja kalkulowała się zbyt drogo, jednak I. G. F. potrafiła zastraszyć „Standard Oil" możliwością rozwoju wytwarzania syntetycznej benzyny w przyszłości i zmusić tym swą amerykańską kontrahentkę do zawarcia umowy, a następnie zainteresować ją tą możliwością i wydobyć środki na prowadzenie badań.

„Standard Oil" włożyła w przedsięwzięcie około 30 milionów dolarów na prace badawcze, nie licząc takiejże sumy wpłaconej I. G. F. za patenty.

Badania prowadzono w doskonale wyposażonych laboratoriach amerykańskich pod kierownictwem niemieckich specjalistów. Jednak na ostateczne badania, które mogły dać w rękę praktyczną metodę — specjaliści wyjeżdżali do Niemiec i Amerykanie nie mieli do nich dostępu.

W ten sposób za amerykańskie pieniądze i dzięki ich środkom technicznym Niemcy opracowali sobie metodę produkcji benzyny, której im brakło i w 1942 r., wyrabiali jej pięć milionów ton.

„Standard Oil" zawsze się wywiązywał ze swoich tajnych umów ze starannością godną lepszej sprawy.

Już w czasie wojny firma angielska „Anglo - Iranian Oil" wraz z dwiema amerykańskimi („Texas" i „Universol") zdobyły cenny wynalazek w dziedzinie benzyny syntetycznej. „Standard Oil" pod presją wymógł dopuszczenie go do tajemnicy, uzyskał ją i na zasadzie tajnej umowy... przekazał swej niemieckiej kontrahentce to jest I. G. F.

Gdy z początkiem wojny I. G. F. dla uniknięcia konfiskaty, przelała swe patenty na „Standard Oil", zresztą nie ujawniając metod produkcyjnych, firma amerykańska przekazuje nawzajem swoje nowe metody Niemcom, a odmawia ujawnienia ich rządowi Stanów.

Zgodnie z umową „Standard Oil" aprobował pośrednio agresje niemieckie uznając najpierw Austrię i Czechosłowację, a w lutym 1941 roku Francję za wyłączną sferę wpływów I. G. Farbenindustrie.

Podobnie rzecz się miała z syntetycznym kauczukiem. Niemcy otrzymali tu na zasadzie tajnego układu rolę kierującą i konsekwentnie zmierzali do tego, by nie dopuścić do rozwoju tego ważnego artykułu wojennego w Stanach. Wyłączne prawo korzystania z patentów miała f-ma „Jasco", dziecko zrodzone ze stosunku „Standard Oil'u" z I. G. Farbenindustrie.

Gdy znana firma amerykańska „Goodrich" chciała nabyć te patenty, spotkała się z odmową i amerykańska produkcja syntetycznego kauczuku pozostawała w powijakach, aż do czasu, gdy koncern Dupont de Nemour opracował nową metodę produkcji.

Niemcy znaleźli sprzymierzeńca w polityce karteli. Dążąc do utrzymania wysokich cen przez ograniczenie produkcji, kartele szły na rękę Niemcom starając się, by poza ich granicami zahamować rozwój przemysłu.

We własnym kraju mimo ograniczeń kartelowych udawało się im jednak rozwijać przemysł, szczególnie wojenny.

Gdy na przykład w dwudziestym dziewiątym roku niemiecka produkcja aluminium stanowiła trzecią część amerykańskiej, to po dziesięciu latach przewyższyła ją znacznie, wzrastając w tym czasie prawie sześciokrotnie.

W dziedzinie magnezu, istotnego dla zbrojeń surowca, przed wojną trwała przez dłuższy czas w Ameryce walka konkurencyjna pomiędzy „Dow Chemicle" a „American Aluminium Co". W rezultacie ta ostatnia zawarła umowę patentową z „I. G. Farbenindustrie", co spowodowało powstanie „Magnesium Development Co".

Fakt ten kładł nóż na gardle firmie „Dow Chemicle", dając konkurencji do dyspozycji połączone niemieckie i amerykańskie patenty. „Dow Chemicle" miała do wyboru albo przygotowywać się do własnego pogrzebu, albo iść na jak najdalsze ustępstwa, aby tylko utrzymać się przy życiu. Nie trzeba tłumaczyć, że zgodnie z naturą przedsiębiorstw prywatno-kapitalistycznych wybrała to drugie. W rezultacie zawarta została umowa kartelowa, oczywiście bez rozgłosu na następujących warunkach: „Dow Chemicle" otrzymała monopol na produkcję magnezu w Stanach Zjednoczonych wg. patentów „Magnesium Development Co", ale z tym zastrzeżeniem, że wytwórczość nie przewyższy 6 tysięcy ton rocznie. Ponadto 15 proc. produkcji „Dow Chemicle" musiała eksportować do Niemiec po zniżonych cenach zaś wywóz do Imperium Brytyjskiego nie mógł przekroczyć 250 ton rocznie.

„I. G. Farbenindustrie" dobrze się tu przysłużyła niemieckiej maszynie wojennej. W 1940 roku, gdy Niemcy wytwarzały 19 tysięcy ton magnezu, Ameryka produkowała zaledwie niecałe 6 tysięcy ton — tego nie mniej niż glin ważnego dla zbrojeń metalu.

PACYFISTYCZNA FABRYKA BRONI

Władze sądowe Stanów ujawniły w 1941 r., że firma amerykańska „Remington Arms Co" uparcie odmawia dostaw angielskiej komisji dla zakupów wojennych. Gdy Anglicy zwracali się do władz firmy z propozycją nabycia uzbrojenia, „Remington Arms Co" wykręcała się jak mogła, aż przyparta do muru proponowała... broń myśliwską. Dopiero senator Pepper wpadł na ślad właściwy. Okazało się, że firma amerykańska używała do produkcji materiałów wybuchowych — tetrazytu. Patent na ten składnik nabyty był od „I. G. Farbenindustrie", która przy sprzedaży zastrzegła sobie, że jej amerykańska kontrahentka nie będzie sprzedawała swych wyrobów do W. Brytanii.

WYŚCIG STALI WOLFRAMOWEJ

Rekordowy sukces niemiecki odniósł jednak Krupp w dziedzinie wolframu. Czym jest wolfram dla zdolności mobilizacyjnej przemysłu wyjaśnia fakt, że stanowi on podstawowy składnik w produkcji stali szybkotnącej. O wydajności przemysłu rozstrzyga nie tylko ilość fabryk i fachowców, ale — i to przede wszystkim — szybkość obrabiarek, szybkość narzędzi, a co za tym idzie przeciętna wydajność pojedynczej obrabiarki.

Niemcy, mając dużo mniej obrabiarek w przemyśle niż Ameryka, mogli co do wydajności w wielu dziedzinach obróbki metali wyprzedzić ją, jeśliby udało im się wyprzedzić ją również w przestawieniu swych maszyn na narzędzia szybkotnące. Takie było zadanie Kruppa, gdy zawierał w 1923 r. umowę z patentową z „General Elektric". Na mocy tej umowy Krupp miał możność ograniczać wyrób wolframu w Stanach. Umowa z 1936 r. dała mu dalsze zwycięstwo. Teraz Krupp decydował, kto ma w Ameryce być dopuszczony do wyrobu wolframu, a kto nie. Co więcej wykorzystując skłonność przemysłu Stanów do wysokich kartelowych cen, wywindował cenę sprzedaży do 400 dol. za funt, gdy koszt produkcji wynosił tylko 6,5 dolara, a cena w Niemczech stanowiła jedną ósmą ceny amerykańskiej. Nic więc dziwnego, że wyrób wolframu w Ameryce wynosił zaledwie dwudziestą część tego, co wytwarzały Niemcy. W ten sposób Krupp wygrał wyścig zbrojeń dla Niemiec jeszcze zanim się ten wyścig zaczął.

W świetle takich faktów nabiera wyrazu zeszłoroczne sprawozdanie szefa amerykańskiego sztabu generalnego gen. Marshalla, że katastrofa Stanów Zjednoczonych była o wiele bardziej niebezpieczeństwem realnym, niż to sobie ogół wyobraża.

Jakież stąd wnioski dla dzisiejszego stanu rzeczy?

A więc najprostszy wniosek dedukcyjny. Skoro przed pierwszą wojną i po niej Niemcy wkładali tyle wysiłku by związać się z gospodarką Stanów i wpływać na nią po linii swych interesów, będą to robić tym bardziej dzisiaj. Już zresztą to robią. Pracowita niemiecka mrówka już zabiega dookoła amerykańskiej mszycy, chętna do udoju.

Tym łatwiejsze to zabiegi, że powiązania gospodarcze między obiema stronami są dziś ściślejsze niż po pierwszej wojnie. Ameryka ma około 1,3 miliarda dolarów zainwestowanych w Niemczech. Z wielkich firm zza oceanu mają wkłady w Niemczech „Standard Oil", „General Elektric", „Dupont de Nemours", „Texas", „Int. Telephone and Telegraph Co", „Ford", „General Motors".

Poza tym wytworzyła się w Stanach nowa gałąź spekulacji i wykupywania za bezcen niemieckich akcji przemysłowych i bankowych.

Zacieśnianiu amerykańsko - niemieckich związków sprzyja jeszcze to, że jak „New Statesman and Nation" pisze (9.11.1946): „powszechnie jest wiadome, iż znaczna ilość amerykańskich urzędników administracyjnych, to businessmani czasowo w mundurach występujący, którzy załatwiają prywatne interesy, prywatnych firm przez siebie reprezentowanych".

Wszystko to pozwala na snucie raczej niewesołych domysłów. Dla ścisłości należy jednak zaznaczyć, że są w Ameryce ludzie, którzy zdają sobie sprawę z egoistycznej krótkowzroczności i w skutkach fatalnej pomyłki bussinessmanów. Prócz Henry Wallace'a warto wspomnieć o Summer Wells'ie, byłym wiceprezydencie Stanów i jego opinii o zwolennikach „free economy".

„...ci ludzie wierzą w międzynarodową współpracę karteli, ale nie wierzą w ustanowienie organizacji międzynarodowej, którаby te kartele pozbawiła możności grabienia narodów wszystkich krajów".

Przyszłość pokaże, czy Ameryka pójdzie drogą współpracy z narodami świata dla wspólnego dobra, czy też dla dobra wszystkich karteli, a ze szkodą dla siebie jak w stosunkach z Niemcami, drogą swobodnych i niekontrolowanych związków międzynarodowych przemysłowców i bankierów.

Ankad

W Niemczech po staremu

NIE ZASŁUŻYŁ NA ZAUFANIE...

Do urzędu niemieckiego zgłasza się były więzień Gestapo z prośbą o zatrudnienie. Przesiedział szereg lat w kaźniach hitlerowskich za to, że odmówił wykonania rozkazu. Polecono mu bowiem podłożyć maszynę piekielną na statku, opuszczającym port rumuński z uciekinierami żydowskimi. Prośbę jego odrzucono, podając jako uzasadnienie, że nie można mieć zaufania do człowieka, który odmówił wykonania rozkazu władzy przełożonej.

Działo się to w „ministerstwie" sprawiedliwości jednej z prowincji zachodnich Niemiec.

JAWNA POCHWAŁA HITLEROWCÓW

„Die deutsche Rundschau" pisze: „Również narodowi socjaliści ginęli odważnie i godnie, a nawet w ukryciu. Wiara w Hitlera była dla wielu odważnych ludzi objawieniem niezaprzeczalnej prawdy. Odczuwamy wyrzut, gdy wspominając setki tysięcy zmarłych, wyłączamy z braterstwa ofiar tych przyzwoitych narodowych socjalistów."

Wydrukowano w piśmie, ukazującym się na podstawie licencji zarządu wojskowego Niemiec Nr 17.

I TAJNA GAZETKA...

W strefie amerykańskiej kolportowana jest tajna gazetka „Die Fackel" (Pochodnia). Podtytuł głosi: organ b. członków partii narodowo - socjalistycznej.

Najciekawszą cechą tej tajnej gazetki jest, że nie atakuje zupełnie władz okupacyjnych, lecz wszystkie bez wyjątku ugrupowania niemieckie: komunistów za to, że utrzymują dobre stosunki z Kościołem, social - demokratów za to, że są ukrytymi faszystami, hitlerowców za to, że bronili interesów kapitału itd.

Szwajcarski dziennikarz, który natrafił na ślad „Pochodni", twierdzi, że jest ona wydawnictwem amerykańskiego wywiadu. Może ma słuszność. Po co narażać się i drukować potajemnie, kiedy można jawnie i za zezwoleniem władz?

DYSKRYMINACJA RASOWA NA EKSPORT

W Ontario (Kanada) miał się odbyć konkurs brydżowy. Zaproszono m. inn. studenta, Leona Bearda, pochodzącego z Trinidadu i niejakiego Al Sobela, dyrektora amerykańskiej Ligi Brydżowej. Ten ostatni oświadczył, że nie będzie grał, jeżeli Mr. Beard nie zostanie skreślony z listy uczestników. Żądaniu stało się zadość, gdyż Leon Beard ma czarny kolor skóry.

Kanadyjscy gracze brydżowi zastosowali się do życzenia swego gościa ze Stanów. Faktu tego nie zmienią późniejsze głosy prasy kanadyjskiej.

AMERYKANIE UCZĄ SIĘ ROSYJSKIEGO

Od 1942 r. liczba zakładów naukowych w USA, w których wykładany jest język rosyjski, wzrosła z 19 na 110. Na 15 dalszych uniwersytetach projektowane jest uruchomienie katedr języka rosyjskiego w bieżącym roku. Obecnie aż 25.000 młodych Amerykanów uczy się mowy Lermontowa i Puszkina. Instytut rosyjski przy uniwersytecie Columbia prowadzi dwanaście kursów, poświęconych: historii, gospodarce, ustrojowi, prawu, ideologii itd. Związku Radzieckiego. Jest to najwybitniejszy zakład tego rodzaju. Może jego wychowankowie zdołają przelać odrobinę swej wiedzy do głów antyradzieckich baronów kapitalistycznych na Wallstreet.

W. P.

FILOMACI POMORSCY

Czterdzieści pięć lat minęło od chwili, gdy wskutek głośnego procesu toruńskiego rozeszła się po Polsce wieść o istnieniu tajnych organizacji filomackich wśród polskiej młodzieży gimnazjalnej na terenie Pomorza i Poznańskiego. Jakkolwiek wyrok sądu pruskiego wstrząsnął do głębi opinią publiczną, to jednak wśród ogółu społeczeństwa pamięć o ich działalności zanikła niemal zupełnie, mimo, że organizacje te po procesie nie ustawały w pracy narodowej.

Dziś, kiedyśmy odzyskali nasze Ziemie Zachodnie, wskazane jest poświęcić nieco uwagi historii ruchu filomackiego, który w dziejach walki o polskość Pomorza zdobył sobie miejsce poczesne. Wobec braku wyczerpujących źródeł niełatwo jest poznać dokładnie genezę oraz dzieje początkowe tajnych stowarzyszeń filomackich na Ziemiach Odzyskanych. Pewne wiadomości, aczkolwiek skąpe znajdujemy w pracy Jana Karnowskiego p. t. „Filomaci Pomorscy". Powstanie swoje zawdzięczały one dążeniu młodzieży do przeciwstawienia się zakusom germanizacji. Niemałą też rolę w ich tworzeniu odegrał wpływ tajnych organizacji młodzieżowych z Poznańskiego oraz przykład filomatów i filaretów wileńskich, których ideologia zaważyła decydująco na charakterze pracy zrzeszeń pomorskich. Istniał też związek genetyczny pomiędzy najstarszymi organizacjami pomorskimi a Stowarzyszeniem Studentów Polaków w Berlinie p. n. „Związek Polski" w latach 1819 — 1821, zorganizowanym przez K. Marcinkowskiego.

Początki ruchu filomackiego na Pomorzu przypadają na pierwszą połowę XIX w. W roku 1840 istniała wśród uczniów gimnazjum w Chojnicach tajna organizacja p. n. „Mickiewicz", do której należał znany działacz kaszubski — Florian Ceynowa. W tym samym czasie powstał też związek filomatów w Chełmnie. Wprawdzie ich historia aż do czasu powstania styczniowego nie jest bliżej znana, lecz sam fakt, że spora liczba członków tych organizacji wzięła udział w powstaniu, świadczy wymownie o duchu, jaki w nich musiał panować.

W latach 1864 — 1887 w Chełmnie istniały nawet dwie organizacje: „Mickiewicz" i „Zan", które połączyły się w 1887 r. w „Towarzystwo Filomatów". W 1871 r. powstał w Wejherowie tajny związek młodzieży p. n. „Wiec", a w roku następnym powstała filia jego w gimnazjum w Wałczu p. n. „Ul". W 1873 r. powstało „Towarzystwo Filomatów" w Brodnicy, a w latach 1884 — 1886 w Toruniu, Starogardzie („Rzeczpospolita") i w Nowym Mieście („Towarzystwo Karola Marcinkowskiego"); nieco później w Lubawie i Malborgu. Różne były koleje tych organizacji. Najżywotniejsze z pośród nich były w Chełmnie, w Chojnicach i w Brodnicy, które dotrwały do 1920 r. Proces toruński w końcu 1901 r. położył kres kółku filomatów w Toruniu, gdzie jednak w kilka lat później powstała nowa organizacja filomacka. Z różnych przyczyn rozwiązały się i Wejherowski „Wiec" w 1890 r., w Wałczu „Ul" oraz w Nowym Mieście „Tow. K. Marcinkowskiego" w 1891 r.

Kilkakrotnie próbowano stworzyć związek wszystkich pomorskich kół filomackich na Pomorzu i dążono do połączenia go z poznańską „Czerwoną Różą" w jedną organizację młodzieży polskiej, lecz pomysł ten udało się zrealizować dopiero w 1900 r., a więc na krótko przed procesem toruńskim. Po połączeniu ustalono jednolity program całej pracy filomackiej na terenie Poznańskiego i Pomorza. Załatwiono sprawę podręczników i postanowiono odbywać wspólne zjazdy delegatów kół.

W okresie największego rozkwitu t.j. w latach 1880 — 1900 na ogół poszczególne towarzystwa tworzyły samoistne jednostki organizacyjne i rozwijały samodzielną działalność. A jednak, mimo to istniała pomiędzy nimi wyraźna łączność ideowa. Wszystkie bowiem zmierzały do jednego celu i używały tych samych metod i środków. Tworzenie kół filomackich było aktem samoobrony młodzieży polskiej przed germanizacją a celem ich było budzenie świadomości narodowej i systematyczna wspólna praca pozaszkolna nad rozwijaniem ducha polskiego. Środkami do tego celu było: poznawanie literatury polskiej, historii i geografii kraju ojczystego oraz nauka języka polskiego. Za podstawę każdej organizacji służył statut, oparty w ogólnym zarysie na statucie chełmińskiego „Towarzystwa Filomatów". Organizacje dzieliły się na kółka po 3 — 10 członków, podlegające t. zw. „kółkowym". Na czele wszystkich kółek danej organizacji stał przewodniczący. Członkowie w myśl przysięgi, jaką składali, obowiązani byli do zachowania najściślejszej tajemnicy we wszystkich sprawach towarzystwa, powinni też byli należeć do organizacji do końca swego pobytu w gimnazjum. Mieli oni obowiązek brać czynny udział we wszystkich pracach, przewidzianych przez statut, jako to: w posiedzeniach naukowych, obchodach, uroczystościach itp. Ponadto, każdy członek obowiązany był w określonym terminach opanować materiał z zakresu literatury, historii, geografii i gramatyki oraz poddać się egzaminowi.

Bardziej żywotne ogniska ruchu filomackiego wydawały nawet przez pewien czas własne tajne pisemka np. Chełmno i Wałcz. W końcu 1900 r. władze pruskie zupełnie przypadkowo wpadły na ślad organizacji młodzieżowych i wszczęły natychmiast śledztwo na wielką skalę. Ofiarą dochodzeń, które się rozpoczęły w Poznaniu, padł szereg organizacji na Pomorzu. Przed sądem stanęło 60 uczniów gimnazjów, studentów uniwersytetu i kleryków z seminarium z Pelplina. Sąd niemiecki w Toruniu skazał z nich 35 na karę więzienia. Wszystkich skazanych władze niemieckie pozbawiły możności dalszego kształcenia się na terenie Niemiec.

Los skazanych nie odstraszył jednak uczniów pomorskich od dalszej pracy w organizacjach. Skutki ich pracy nie poszły na marne, bo podtrzymywały polskość Pomorza.

M. B.

Ludwik Świeżawski

STRAPIENIA DAWNEGO MIASTA

(Spośród starych druków)

Stare druki dostarczają nieraz niezwykle interesującej lektury. Pozwalają wglądnąć w stare obyczaje, czasem bawią nas, czasem pozwalają się zastanowić.

Szlachetny magistrat miasta „Thorunia" spostrzegł w 1722 roku, że starodawne rozporządzenia celem powściągania się w marnotrawstwie czasem lekce były ważone, zatem pełen oburzenia zrewidował i ogłosił ponownie „Reassumcję Ordinacicy szlachetnego miasta Thorunia".

Magistrat toruński nie wydawał by jeszcze raz tych nakazów i zakazów gdyby nie to że się coraz więcej zgromadziło grzechów, że wojny i powietrze nękały w tych latach bogu ducha winnych, jak i ludność nieopatrzną, wyrzucającą pieniądze za okna, śród której prym w rozrzutności trzymały kobiety, na niczym oszczędzić nie chciały i tylko do rozpaczy doprowadzały piernikarzy toruńskich.

Aby odwrócić niepowodzenia od ślicznego miasta, uczyniło się one ordynacje, które miały obywateli a zwłaszcza stan niewieści do opamiętania doprowadzić. Od tego jest magistrat z ojcem miasta, aby mieszkańcom użyczać ojcowskich napomnień i przysparzać im szczęścia, mimo że nie zdarzyło się, aby niewdzięczni mieszkańcy byli z tego kiedy zadowoleni.

Przede wszystkim o rozrzutności na weselach, bo w tych wypadkach najwięcej się wydatkowało. Nic dziwnego, że żałowano grosza na cel tak fortunny.

„Wszelkie tańcowanie w domu weselnym, na podlejszych weselach najdłużej o dziesiątej, a u przedniejszych o dwunastej godzinie ma być zakończone. Potem oblubienica cicho i bez muzyki i tylko in comitate najbliższych pokrewnych ma być odprowadzona".

Było to bardzo przykre rozporządzenie, zakazujące uroczystego zakończenia wesela, pochodu z muzyką, śpiewami i uciechą przy odprowadzaniu panny młodej do domu szczęśliwego nowożeńca. Zakaz był tym bardziej przykry, że stać było toruńskich kupców na wszystko, pierniki przynosiły wielkie dochody.

„Kupcy bezmiernego pozłocenia na karetach swoich, jako też i pozłacanych półszorków zaniechywać będą".

Tak się im jeździło! A tu przy uroczystości nieczęstej, bo ślub córki, zakazują pochodu. Magistrat zawsze chciał inaczej niż mieszkańcy miasta.

Licznie zbierano się na weselu w zamożnym domu mieszczanina.

„Sułtarz i butarka będą dawały baczenie, aby ani podczas trwającego obiadu, ani przy tańcu niepotrzebna czeladź, których państwo nie jest na weselu, a oni takim sposobem żadnej tam sprawy nie mają, tudzież maskami zasłonione osoby, na salę się weselną nie tłoczyły, ci zaś, którzy by się potajemnie wrazili, mają być nazad wyprowadzeni".

Z kolei następuje ordynacja pogrzebów.

„Którzy do cechów exckwialnych nie należą, albo też po śmierci do nich się wkupić nie chcą, do wynoszenia ciała wolno zażywać mogą Studentów, Kupczyków albo innych ludzi, za co im nic więcej tylko parę rękawiczek i cytrynę albo bukiecik dać mają".

Jest to chyba jedna z najrozkoszniejszych ustaw biurokratycznych.

Brzmi tak, jakby ci którzy nie mają ochoty wpisywać się do cechu karawaniarzy i są tak zatwardziali, że nie chcą się na to zdecydować nawet po śmierci (nierozważni, nie zastanawiają się, że jak kiedy ale będąc już w stanie martwym, należałoby wreszcie pomyśleć o pogrzebie), ci zatem umarli a niezwiązkowi, mogą zawołać ludzi również do związku pogrzebowego nie należących, aby ich wynieśli z należnym honorem.

Z powyższego rozporządzenia widać, jaka to była biedota, studenci, jeśli zgłaszali się do wynoszenia zwłok. I za co? Za cytrynę.

Jeżeli idzie o wzgląd na oszczędności, komóż w pierwszym rzędzie zalecić je jak nie paniom. Wojny i powietrze nękają miasto, a wszystko tylko dlatego, że umiarkowania żadnego nie masz w szafowaniu pieniędzmi na stroje. Ale żeby to tylko białogłowy,/ które wiadomo że są łase na ubiór i stroiki.

„Chłopcom kupieckim i rzemieślnickim noszenie koszulek, mankietek, tudzież srebrnych przęczek osobliwie zakazuje się".

Chłopcy ze sklepu, bednarczyki, kucharczyki srebrne sprzączki u trzewików noszą.

A z kobietami już — to prawdziwe utrapienie. Czas nastał przyprowadzić strojnisie do opamiętania, ukrócić ich wymysły, przy sposobności zmniejszyć budżet domowy dla żon i córek, zalecić skromność, nauczyć wszystkie kobiety jak się mają ubierać. Od czego jest magistrat!

„Ponieważ też u białogłowskiej płci różne niezwyczajne i szpecące mody się wszczęły, zaczem szlachetny Magistrat wszystkie i wszelkie tejże płci osoby serio upomina, aby się za takimi marnościami nie kwapiły, ale raczej tutejszych starożytnych stateczności pilno się trzymały".

Tam, mój panie, magistrat ma wzgląd na wszystko. Najbardziej się ojcom miasta wydawało niestosowne, że „przekupców i makłarzów żona i córki" chodzą poubierane według mody. One w pierwszym rzędzie „odląd miarkować się będą", jako że je, póki czas, „serio upominają".

„Jedwabne i kitajczane materie, tudzież kitajkowe tak mianowane falby na sukniach, stroje do głowy z kornetami, albo z spuszczonymi koronkami, suknie obręczowe albo fryżbanowe, tak mianowane szuby z falbami na plecach, złote łańcuszki do szyi i ręku, zausznice, złote albo srebrne tressy, koronki i wstęgi, złotem i srebrem haftowane chustki, napierśniki, trzewiki i pantofle wcale się zakazują".

Nawet haftowane chustki zostały zakazane przez srogich ojców miasta. No, a pod żadnym w świecie warunkiem pantofelki.

Rozumie się, że obostrzenia tyczyły się tylko córeczek sklepikarzy.

„Co się tknie Pań i Panien, toć małżonkom i córkom Panów Burmistrzów, Radców i Doktorów zażywanie aksamitu, atłasu, adamaszku i innych jedwabnych materii wolne zostanie".

Żonom swoim i córeczkom trudno było wytłumaczyć, że stroje to marność nad marnościami.

Również innego były zdania co do mody burmistrzowe i burmistrzanki, i ani im się śniło „raczej tutejszych starożytnych stateczności pilno się trzymać".

Dla świętego spokoju, trzeba było na wszystko im pozwolić, a zresztą — w głębi zacnych serc nikt z szlachetnego magistratu nie chciał, aby z wdzięcznego miasta zniknął powab pięknych torunianek.

DROBIAZGI POLITYCZNE

WSZYSTKO TO BYŁO

Rząd francuski złożył konferencji zastępców ministrów Spraw Zagranicznych czterech mocarstw w Londynie projekt klauzul politycznych, dotyczących odbudowy niepodległości Austrii.

Projekt przewiduje porozumienie czterech mocarstw w sprawie utrzymania politycznej i gospodarczej niepodległości Austrii i przeciwstawienie się wszelkiej akcji w tym kierunku zarówno z zewnątrz, jak i z wewnątrz kraju. Ze swej strony Austria ma być zobowiązana do nieprowadzenia żadnej działalności, która mogłaby narazić jej integralność terytorialną, lub niezależność finansową, gospodarczą, lub polityczną.

Wreszcie traktat pokojowy z Niemcami zawierać ma klauzulę, mocą której Niemcy mają uznać niepodległość Austrii.

Mądry rabbi, Ben Akiba, powiedział by, gdyby żył: „wszystko to już było". Było po poprzedniej wojnie i na nic się nie zdało. Mussolini raz jeden tylko wystąpił w obronie Austrii, koncentrując dywizje włoskie na Brennerze po zabójstwie Dolfussa w 1934 r. Gdy jednak Hitler zajmował naprawdę Austrię, Włochy nawet nie drgnęły, a po zajęciu Mussolini otrzymał od Hitlera depeszę: „Dziękuję ci, Benito",

STABILIZACJA WE FRANCJI

W miarę dokonywania wyborów do ciała ustawodawczego i władz wykonawczych we Francji dokonuje się konstytuowanie Czwartej Republiki i stabilizacji płynnych dotąd stosunków politycznych. Przecież to w obliczu klęski czerwcowej w r. 1940 dymisjonował gabinet Daladiera, a na jego miejsce przyszedł rząd Pawła Renaud, który ustąpił w okresie pełnej klęski na burzliwym posiedzeniu Rady Ministrów w Bordeaux, na którym zwyciężyli defetyści i kapitulanci. Władza dostała się w ich ręce. Na ruinach Trzeciej Republiki Pétain zaczął tworzyć Państwo Francuskie, które jednak przetrwało zaledwie do końca wojny.

Czwarta Republika rodziła się powoli, w licznych głosowaniach powszechnych nad konstytucją i składem ciał ustawodawczych. Dziś Francja posiada już obie izby parlamentu, prezydenta i desygnowanego premiera pierwszego stałego rządu, który prowadzi rozmowy w sprawie utworzenia gabinetu. Platforma tego rządu ma być jak najszersza i ma obejmować obok komunistów, wszystkie inne ugrupowania lewicowe wraz z Ruchem Republikańsko - Ludowym



Premier Osóbka - Morawski z małżonką opuszczają lokal Komisji Wyborczej po złożeniu głosów. Fot. Film Polski



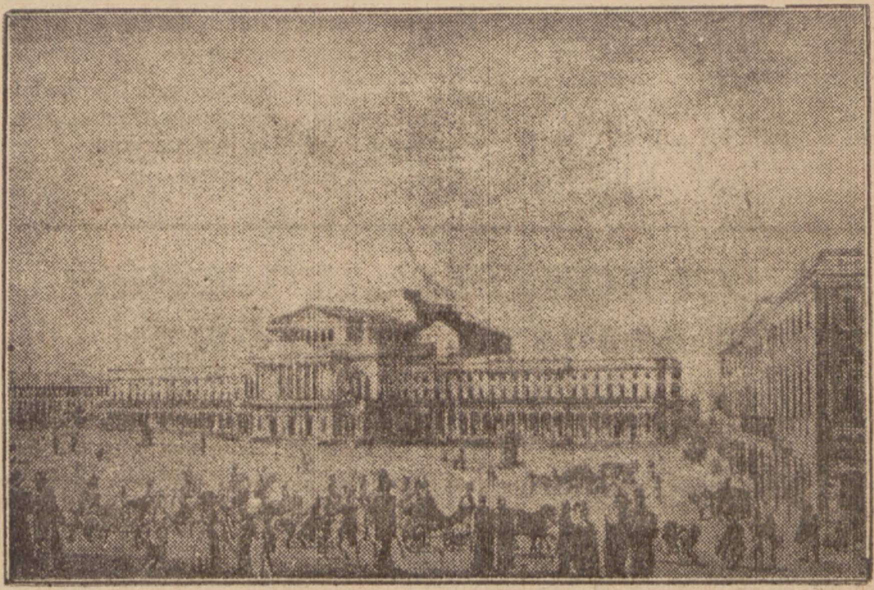
Fenomenalny wynalazca Thomas Alva Edison. Wśród wielu wynalazków zawdzięczamy mu również żarówkę elektryczną.



W II rocznicę oswobodzenia Łodzi, delegacje składały wieńce na grobie Nieznanego Żołnierza. Fot. J. Płażewski



Prezes C. U. P., min. Czesław Bobrowski podaje swoje personalia przed złożeniem głosu do urny wyborczej. Moment ten chwyta „na fale eteru" radioreporter. Fot. Film Polski



Teatr Wielki w pierwszych latach istnienia budynku (wedł. akwareli Dietricha).



Głosowanie w stolicy odbyło się w spokoju i powadze, przy dużej frekwencji głosujących. Fot. Film Polski



Warszawa posiada zbyt jeszcze mało sklepów spółdzielczych. Świadczą o tym tłumy nabywców, oblegających te sklepy. Fot. Brzozowski

WIADOMOŚCI SPORTOWE

MECZ BOKSERSKI POLSKA — CZECHOSŁOWACJA

W niedzielę, 19 bm z okazji wyborów nie mieliśmy w Polsce żadnych imprez sportowych, ale już najbliższe dni zapowiadają nam cały szereg wspaniale zapowiadających się zawodów sportowych, spośród których na plan pierwszy wysuwają się dwa mecze międzynarodowe w boksie z reprezentacją Czechosłowacji. Pierwszy mecz odbędzie się 2 lutego w Warszawie. Reprezentacja Polski walczyć będzie w następującym składzie: Bazarnik, Grzywocz, Leczkowski, Sowiński, Olejnik, Kolczyński, Szymura, Klimecki. Będzie to trzeci mecz z rzędu między Polską a Czechosłowacją, rozegrany w okresie powojennym. Pierwszy mecz w Poznaniu zakończył się zwycięstwem Polski 10:6. Natomiast w Pradze wygrali Czesi 9:7. Będzie więc to trzecie spotkanie, które ostatecznie zadecyduje, która z reprezentacji państwowych jest lepsza. Czesi po meczu w Warszawie rozegrają mecz w Łodzi z Polską Południową 5 lutego. Drużyna nasza wystąpi w nieco zmienionym składzie. Przedstawiać się on będzie następująco: Kamiński, Czarnecki, Komuda, Woźniakiewicz, Olejnik, Kolczyński, Archacki i Szymura. Mówiąc o bokserach, trzeba wspomnieć, że 26 bm. w dalszym ciągu odbędą się mecze o drużynowe mistrzostwo Polski. Mecze te będą ostatnim egzaminem przed zawodami z Czechosłowacją.

Hokeiści i narciarze mają wyraźnego pecha. Pierwsze tygodnie zimy zapowiadały się dla sportów zimowych wspaniale, ale niestety przyszła odwilż, która zniszczyła nie tylko lód, ale i stopiła niezbyt grubą powierzchnię śniegu. Zdążono przeprowadzić eliminacyjne zawody hokeja o mistrzostwo Polski. Do finałowych rozgrywek zakwalifikowały się: ŁKS (Łódź), Wisła (Kraków), Lechia (Poznań) i Cracovia (Kraków). Kiedy i gdzie będą mogły odbyć się finałowe spotkania, trudno jest na razie powiedzieć. W każdym bądź razie fatalnie wypadnie, jeżeli hokeiści nasi będą musieli bez treningu jechać do Pragi na mistrzostwa świata.

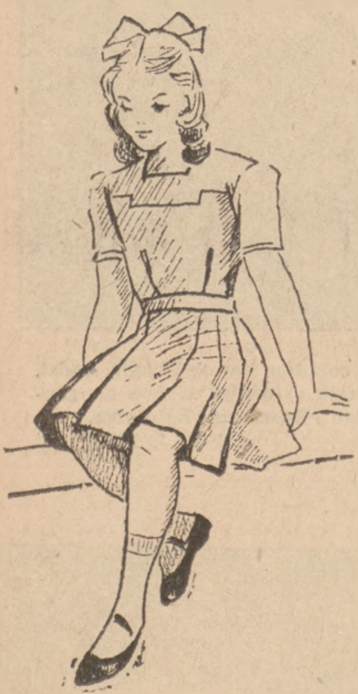


Liczni wysłannicy prasy zagranicznej obserwowali przebieg wyborów. Na zdjęciu fotoreporter amerykański w lokalu Komisji Wyborczej. Fot. Film Polski

TYDZIEŃ DOBREJ GOSPODYNI

Angielscy krawcy, specjaliści mody dziecięcej, zwracają uwagę na dobór odpowiednich fasonów dla dzieci w wieku do lat 10-ciu. Chodzi głównie o to, by modele nie „postarzały" — żeby małe damy dziesięcioletnie nie wyglądały na 15—16 lat.

Sukienki muszą być skromne, proste, lecz ładne, a jednocześnie muszą dawać dużą swobodę ruchu.







1) Na naszym rysunku widzimy właśnie taką ładną i skromną sukienkę. Efektowne guziki na plecach ożywiają model, a fałdy pozwalają na swobodne poruszanie się.

2) Z przydziałowej flanelki można uszyć piżamę, która bardzo się przyda na zimowe chłody.

3) Takie krótkie paletko będzie niezastąpione wczesną wiosną. Czas już pomyśleć o jego uszyciu.

Ciągle ryby, ale przecież zawsze coś nowego

TANIA ZUPA Z DROBNYCH RYB

Starannie oczyszczamy drobne ryby, zalewamy smakiem, wygotowanym z włoszczyzny, dodajemy cebuli, soli i pieprzu do smaku, gotujemy tak długo, aż ryby zupełnie się rozgotują. Przefasze-rować przez gęste sito, przyprawić 10 dkg. śmietany rozbitej z łyżeczką mąki, zagotować jeden raz i podawać z grzaneczkami.

ŚLEDZIE

— Znowu śledzie wydają??? — wołają ze zniechęceniem klientki w sklepach rozdzielczych.

— Znowu śledzie na obiad??? — wołają domownicy.

Istotnie, dużo śledzi nikt nie zje. Ale można z nich też coś zrobić — i to nawet bardzo smaczne potrawy.

*

Zaczniemy od zwykłego **śledzia w śmietanie**. Trzeba go oczyścić i moczyć w wodzie 2—3 godziny. Mlecz wyjęty ze środka utrzeć z musztardą, dodać 10 dkg. śmietany, drobno siekanej cebuli i zalać śledzia tym sosem. Jeżeli byłoby go za mało — dodać jeszcze trochę śmietany.

*

Kartofle faszerowane śledziem stanowią smaczną przystawkę do... kieliszka wódki. Obieramy duże kartofle i gotujemy do połowy. Kiedy ostygną, wydrążamy środek i wypełniamy go następującą masą: śledź, przepuszczony przez maszynkę do mięsa, zmieszany z usmażoną cebulką, 1 jajkiem, z dodaniem odrobiny soli, pieprzu i masła, oraz resztą wydrążonych kartofli.

Napełnione kartofle osmażamy na patelni na maśle, następnie układamy w rynience i zalewamy śmietaną, zaprawioną łyżką mąki. Na krótko wstawiamy do pieca.

*

Forszmak ze śledzia. ½ kg. cielęciny bez kości gotujemy z włoszczyzną w rosole — może być z tego smaczna zupa i od razu obiad z 2 dań. Przepuszczamy mięso przez maszynkę razem z oczyszczonym śledziem — dodajemy 1 bułkę, namoczoną w wodzie, sporo usmażonej cebuli, 1 dkg. masła, 1 jajko, trochę soli, pieprzu. Obkładamy rynienkę talarkami surowych kartofli i napełniamy masą, przekładając surowymi kartoflami aż do samego wierzchu. Wszystko razem zalewamy śmietaną i wstawiamy do pieca.



TRZECI KONKURS „TYGODNIA"

NA REBUSY I KRZYŻÓWKI
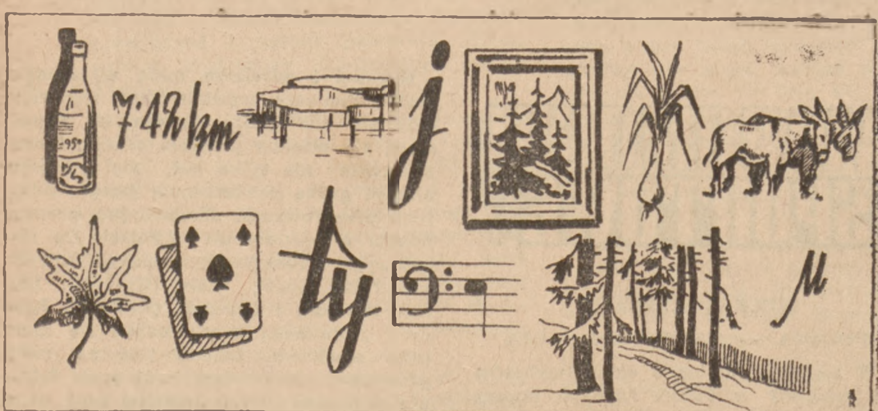
W numerze 3 (27) ogłosiliśmy III konkurs „Tygodnia" na rebusy i krzyżówki, które podawać będziemy w 10 kolejnych numerach. Na prośbę czytelników wprowadzamy nagrody książkowe.

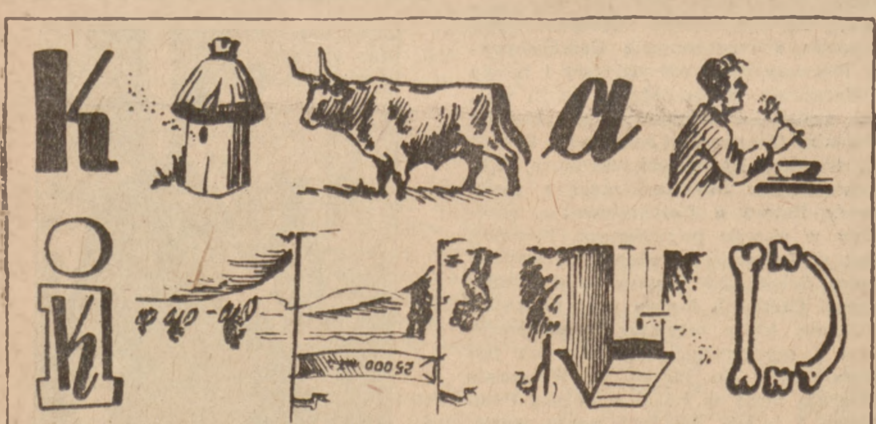
Jako nagrody Redakcja przeznaczy:

30 nagród książkowych.

20 nagród — prenumerata kwartalna „Tygodnia".

Za prawidłowe rozwiązania każdego zadania przyznane będą 3 punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości zdobytych punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy po zakończeniu konkursu do dnia 1 kwietnia br. do Redakcji „Tygodnia" — Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8.





Anegdoty historyczne

LEKARSTWO

Pewien znajomy znakomitego humorysty amerykańskiego Marka Twaina (pseudonim Samuela Clemensa — 1835 — 1910), znany blagier, skarżył się kiedyś przed nim, że cierpi na lunatyzm, co wyczerpuje go bardzo.

— Mam na to niezawodny środek — powiedział humorysta i na kartce papieru skreślił kilka słów: — Oto recepta. Proszę się z nią udać do najbliższego sklepu z materiałami piśmiennymi.

— Dlaczego nie do apteki? — zdumiał się tamten.

— Niech pan przeczyta receptę.

Na kartce było napisane:

— Jedno pudełko pluskiewek, sto sztuk. Rozsypać starannie przed snem dokoła łóżka chorego. Jeśli po jednorazowym użyciu nie poskutkuje, powtórzyć.



Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień".
Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8.
Redaguje: Zespół redakcyjny.
Oddział w Łodzi: ul. Mariana Nowotki (dawniej Pomorska) 37 m. 1. tel. 14-906.
Pernumerata miesięczna 40 zł.
Konto PKO: Łódź VII nr 4321.
Ogłoszenia: za 1 mm wysokości na szerokość jednej szpalty — 50 zł.
Druk: Zakłady Graficzne Spółdzielni Wydawniczej „Książka", Warszawa, ul. Smolna 12.
B-19009
Okładkę wykonano w Zakładach Graficznych „Społem", Łódź, ul. Andrzeja Struga 63.

Stefania Grodzieńska

LIST OD ALICJI

DLACZEGO NIE GŁOSOWAŁAM

Moja kochana!

Ostatnie dni przeżyłam w strasznej rozterce. Trzeba było już ostatecznie zdecydować, na co się będzie głosowało. A to było bardzo trudne. Swoją drogą, skąd ci wszyscy ludzie wiedzieli, na co głosować? Bo zapewniam Cię, moja droga, że byli tacy, co wiedzieli! Ale to nie sztuka, naczytał się gazet, to mu łatwo. A ja się na partiach nie znam, więc się tylko rozglądałam, kto na co miał głosować.

Z początku było postanowione, że będę głosować na P.S.L., bo na P.S.L. miał głosować Kocio Mentlikowski i Kropscy, a Kocio twierdzi, że ja jestem tych samych zapatrywań. Więc jeśli jestem tych samych zapatrywań, to oczywiście powinnam głosować tak jak oni. Ale tu się stała taka przykra rzecz, że Kropski pośredniczył w jednym grubszym interesie, który zrobiłam do spółki z Kociem i tak pośredniczył, że Kocio stracił podobno te dolary, które zarobił w zeszłym tygodniu na wymianie złotych rubli, a znów Kocio ze mną się pokłócił ,bo powiedział, że zrobiłam ten interes na lewo z Kropskim i obojeśmy na tej stracie zarobili. Już nie chciałam nic mówić, ale głowę daję, że Kocio też zrobił ten interes na stronie z Kropskim i jeszcze więcej zarobił, niż ja. Więc nie mogłam już głosować na P.S.L., bo nie lubię, jak mnie kantują ludzie o tych samych zapatrywaniach. W pierwszej chwili chciałam zrobić im na złość i głosować na Blok. Ale ci, co głosują na Blok zupełnie się na interesach nie znają, więc to nie jest partia dla mnie w tych ciężkich czasach. Pozostała to drugie Stronnictwo Ludowe, ale ono mi nie odpowiada, bo ta chłopka, co mi mleko przynosi, wcale mi się nie podoba, a więcej się z chłopami nie stykałam. Pozostało więc Stronnictwo Pracy i już byłam zdecydowana na nie głosować, ale niestety musiałam z tego zrezygnować, zaraz Ci wyjaśnię, dlaczego.



Kocio ze mną się pokłócił, bo powiedział, że zrobiłam ten interes na lewo...

Zaczęło się od tego, że Krapotkiewiczowie mają fortepian. Krapotkiewiczowie mieszkają pod nami i Krapotkiewiczowa gra na fortepianie preludium Rachmaninowa codziennie od 10 rano do samego obiadu. Ponieważ mnie to zdenerwowało, zaczęłam pewnego dnia walić obcasem w podłogę, żeby przestała grać to preludium. Krapotkiewiczowa bardzo się na to obraziła i nie przestała grać preludium, natomiast przestała nam pożyczać maszynkę do mięsa. Bardzo źle zrobiła, bo mnie to już zwolniło ze wszystkich skrupułów i opowiedziałam naszym wspólnym znajomym, że jak Krapotkiewicz wyjeżdża, to do Krapotkiewiczowej przychodzi ten aktor, nawet nie chcę wymieniać, że się nazywa Rymkiewicz i wychodzi nie wiadomo o której. I wyobraź sobie, że kiedy ci znajomi powtórzyli to Krapotkiewiczowej, ta bezczelna plotkarka powiedziała: „Wiem, kto takie rzeczy mówi. Ta tleniona, nieinteligentna idiotka". Tleniona! Jak Ci się to podoba? A ona skąd może wiedzieć, że ja jestem tleniona? Okropnie się zdenerwowałam, kupiłam własną maszynkę do mięsa i nie mam zamiaru dłużej przyjaźnić się z Krapotkiewiczową. Mało tego Ten Rymkiewicz ,co to do niej przychodzi jak Krapotkiewicz wyjeżdża i wychodzi nie wiadomo o której, jest w Stronnictwie Pracy. Postanowiłam więc za żadne skarby nie głosować na Stronnictwo Pracy, żeby później Krapotkiewiczowa nie chodziła nadęta, że Rymkiewicza partia wygrała.

I z tego wszystkiego nie wiedziałam, na co głosować. Gdyby mi choć był ktoś miarodajny poradził! A ten Londyn milczał.

Tak, tak, moja droga. Ładnie nas urządzili.

Twoja Alicja.

SKLEROZA

CO TYDZIEŃ NAGRODA

W ubiegłym tygodniu nagroda została podzielona: 75 zł. otrzymał Czesław Meyer (Łódź, ul. Piotrkowska 209 m. 15) za nadesłanie zadania algebraicznego z podręcznika Banacha, i 75 zł. Ireneusz Kromer (Poznań, ul. Focha 70 m. 10) za wycinek z „Odrodzenia".

SIGNUM TEMPORIS

Złodziej ukradł rower i uciekł, jadąc z prędkością 12 km/godz. Po „m" minutach właściciel zauważył kradzież i puścił się w pościg na motocyklu, poruszając się z prędkością 40 km/godz. Kiedy dogoni złodzieja? (Banach: Algebra na kl. III, str. 75, Nr. 20).

Podobno cała klasa, rozwiązując zadanie, dała odpowiedź z nadzwyczajną prędkością: nigdy, ponieważ złapać złodzieja w dzisiejszych czasach jest niepodobieństwem. Odpowiedź świadczyłaby o niezwykłej smykałce i wyrobieniu życiowym współczesnej młodzieży, co należy uznać za objaw dodatni. Co się tyczy jej rodziców, ci podobno protestowali przeciw tego rodzaju zadaniom, utrzymując, że są niepedagogiczne. Za ich czasów — mówili — w zadaniach algebraicznych goniły się zwykle dwa pociągi. Na to autor zadania p. Banach miał oświadczyć, że i on początkowo — zgodnie z tradycjami — chciał wprowadzić gonitwę pociągów, musiał jednak zaniechać zamiaru, albowiem pociągi chodzą dość nieregularnie i nigdy nie można przewidzieć ich ewentualnego opóźnienia, a w zadaniach matematycznych obowiązuje ścisłość.

Kącik filatelistyczny



JUGOSŁAWIA — Z okazji Kongresu Słowiańskiego, który odbył się w Belgradzie w listopadzie ub. r., wydano okolicznościową serię znaczków z widokami stolic pięciu państw słowiańskich: ½ d żółto-brunatny (Sofia), 1 d ciemno-zielony (Praga — most na Wełtawie), 1½ d brunatno-czerwony (Warszawa), 2½ d czerwono-pomarańczowy (Belgrad) i 5 d szaro-niebieski (Moskwa — Kreml). Nazwy stolic podane są w języku danego państwa. Na znaczku z widokiem Warszawy, widzimy sylwetkę kolumny Zygmunta na tle Zamku Królewskiego. Ten charakterystyczny motyw Warszawy przedwrześniowej, leżący obecnie w gruzach, nie oddaje jednak charakteru dźwigającej się dziś do życia stolicy.



Jadwiga Dąbrowska, mistrzyni Polski w 1946 r. w jeździe figurowej na lodzie





PORTRETY SŁAWNYCH LUDZI

opracował Bolesław Busiakiewicz

(w 150-tą rocznicę urodzin kompozytora)

Franciszek - Piotr Schubert urodził się na przedmieściu wiedeńskim — w Lichtenthal jako syn nauczyciela szkoły parafialnej. Mając zaledwie lat 8 grał już na skrzypcach, a obdarzony ślicznym głosem śpiewał w chórze kościelnym. W 10-ym zaś roku został przyjęty do chóru „kapeli" cesarskiej, co było połączone z bezpłatną nauką w cesarskim instytucie wychowawczym. Tam zdobył dopiero początki teorii muzycznej pod kierunkiem sławnego Salieriego. Równocześnie poznaje dzieła Haydna, Mozarta i Beethovena.

Już od najwcześniejszych lat tworzył. Najpierw operetki i sztuki ze śpiewami, potem utwory kameralne, wreszcie symfonie... Komponowanie pieśni przychodziło Schubertowi b. łatwo. Jedną z najwcześniejszych jest jego arcydzieło ballada p. t. „Król Olch".

Schubert pisał bardzo wiele. Dzięki famie utalentowanego twórcy zwrócił na Schuberta uwagę hr. Esterhazy, powołując go na nauczyciela muzyki dla swych dwóch córek. Wróciwszy do Wiednia czynił starania o wystawienie nowopowstałych dzieł scenicznych: oper i operetek, ale z miernym powodzeniem. Po latach ta sama uwertura, którą pominięto obojętnym milczeniem w „Zaczarowanej harfie" — uznana została za wspaniałą.

Mimo wielu kompozycyj — stale był w tarapatach finansowych, graniczących z niedostatkiem. Z namowy życzliwych sobie osób postanowił postawić wszystko na kartę: zdecydował się na wielki koncert własnych kompozycji, który doszedł do skutku 26 marca 1828 roku — w sam dzień pierwszej rocznicy zgonu Beethovena. Wyniki były znakomite. Oceny krytyki prześcigały się w pochwałach pod adresem kompozytora, którego uznano za „wielkość..." Materialnie również Schubert mógł uregulować swoje „chroniczne niedomagania". Zdrowie tylko z dnia na dzień pogarszało się. Całą wiosnę ,lato aż do jesieni chorował; lekarze nie potrafili dlań znaleźć ratunku. Zmarł w listopadzie 1828 r., pochowany w habicie pustelnika z wieńcem laurowym na skroniach.

Schubert dopiero po przedwczesnym zgonie zdobył u potomności zaszczytną nazwę geniusza. Wykaz jego najpoważniejszych kompozycyj obejmuje: 4 opery skończone, 5 niedokończonych, 5 operetek, 2 sztuki sceniczne ze śpiewami, 1 melodramat, kilka kantat, 5 mszy, dwa oratoria „Stabat Mater", i „Alleluja" oraz około 600 pieśni. Z muzyki instrumentalnej zostawił: 9 uwertur, tyleż symfonij, oktet smyczkowy, kwintet smyczkowy, 15 kwartetów smyczkowych, dwa tria, kwintet fortepianowy, b. wiele kompozycyj na 4 ręce (pisanych specjalnie, gdy uczył hr. Esterhazy, w której zresztą szczerze się kochał), sonaty, marsze, walce, impromptus, z których nie jedno zinstrumentował na pełną orkiestrę — Franciszek Liszt.

Wielkie i jedyne w swoim rodzaju jest znaczenie Schuberta w dziejach muzyki. Jest on twórcą pieśni artystycznej. W tej dziedzinie osiągnął najwyższe szczyty doskonałości artystycznej. Robert Schumann wyraził się o Schubercie, że był on „najwybitniejszym kompozytorem po Beethovenie"

ZIEMIA ODKRYWA SWOJE TAJEMNICE

W r. 1870 czeski archeolog dr. Wankel natrafił w grocie Byci Skála, położonej na północny wschód od Brna na ślady niesamowitego stosu pogrzebowego, który pochodzi z epoki halsztackiej (600 lat przed Chr.). Odkrycie to zapoczątkowało dalsze prace archeologiczne, które dały nadspodziewane wyniki: w następnej bowiem grocie dr. Wankel znalazł obozowisko ,które należało do myśliwych, sprzed kilkunastu tysięcy lat. Znaleziono w nim szczątki ludzkiego szkieletu, pomieszane z kośćmi zwierząt dyluwialnych i narzędzia, jakich używali myśliwi z okresu paleolitycznego. W grocie Pekarna, położonej na południe od Byci Skála dr. Wankel odkrył pokłady najstarszej kultury europejskiej — z okresu Aurignacian.

Potem — nagle — ślady bytowania człowieka na Morawach znikają. Jednocześnie ginie cała fauna: mamuty, renifery, rinocerosy, lisy, niedźwiedzie jaskiniowe, lwy jaskiniowe, hieny i wilki. Nie ulega wątpliwości, że pod koniec okresu paleolitycznego nastąpił na Morawach jakiś kataklizm — prawdopodobnie straszliwa plaga — która zmieniła Morawy na długi czas w „no man's land".

Wykopaliska w Byci Skála i Pekarna potwierdzają znany archeologom typ kultury dla człowieka — Homo-Brno— z okresu Aurignacian (epoka kamienna).

Nowe momenty do tego okresu wnosi dopiero pewne odkrycie, we Francji w r. 1940, w okolicy małego miasteczka Montignac, w okolicy Wezery.

Drugiego roku wojny, pewnego dnia wrześniowego, dwaj chłopcy wracając ze szkoły poszli na przechadzkę do lasu. Zdarzyło się, że podczas zabawy pies wpadł im do jamy i nie mógł się z niej wydobyć. Chłopcy skoczyli mu na ratunek i oto spostrzegli wejście do lochu. Zaciekawieni weszli do środka i nagle znaleźli się w obszernej grocie skalnej, której ściany były pokryte malowidłami. Zaintrygowani pobiegli z tą wiadomością do nauczyciela, który zresztą opowiadał im o wykopaliskach paleolitycznych w dolinie Wezery. Mr. Laval, uzbrojony w okulary i latarkę elektryczną ruszył z chłopcami do groty i — omal nie oszalał z wrażenia: wnętrze było pokryte malowidłami z okresu paleolitycznego i, co najważniejsze, były one dziełem ludzi Aurignacian. Wszystkie dotychczas znane malowidła pochodziły z okresu Magdalenian, to znaczy nie o wieki, lecz o tysiące lat później. Obecne odkrycie dodawało już nie szczegóły, ale formowało nowe pojęcie o stanie kultury człowieka żyjącego kilkadziesiąt tysięcy lat przed Chr.



Rekonstrukcja głowy.

Prace wykopaliskowe, zapoczątkowane przez dr. Wankla, zostały podjęte po pierwszej wojnie światowej przez K. Czizka i trwały aż do wybuchu drugiej wojny światowej.



Dr G. H. R. v. Koenigswald, znany paleontolog pokazuje córce swojej Felicitas najcenniejsze kości świata — czaszkę człowieka znalezioną i zrekonstruowaną na Jawie. Kości te w ubiełym roku zostały przewiezione z Jawy do Manhattan Museum w USA.

Grota Lascause (tak brzmi oficjalna nazwa groty odkrytej w pobliżu Montignac) składa się z dwóch pasaży, prowadzących do owalnej izby, tak symetrycznej, że robi wrażenie dzieła pierwotnej architektury. Nie ma w niej śladów zamieszkania i prawdopodobnie służyła tylko jako miejsce spotkań dla jakichś magicznych celów.

Na ścianach, wzdłuż galerii, wszędzie znajdują się malowidła zwierząt. W grocie nie zaprowadzono jeszcze instalacji elektrycznej i w słabym świetle latarek, oczom współczesnych ukazują się malowidła tak, jak je przed tysiącami lat widzieli artyści, tworzący w blasku łuczywa.

Malowidła przedstawiają lwy, mamuty, kozy, konie, krowy. Ale niektóre z nich są kompozycjami o nieodgadnionej dla nas treści, która na zawsze pewnie zostanie zagadką. Jaką bestię miał na myśli artysta, który wymalował stwór o nogach i ogonie rinocerosa, głowie lwa i rogach, zakończonych szczeciną?

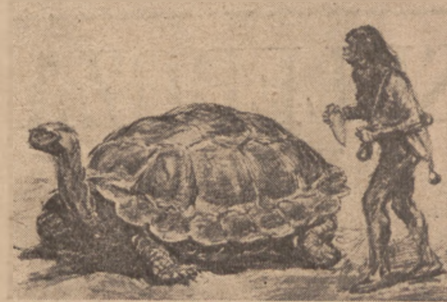
A oto bizon z rozprutym brzuchem, z którego wypadają wnętrzności. Obok niego rozpostarty na ziemi człowiek i rinoceros, który zadarł ogon, jak gdyby wydzielał ekskrementa. Przy człowieku lanca z głową ptaka.

Obrazy w grocie są malowane w kolorach czarnym, żółtym i brązowym, czasem, czerwonym. Pomiędzy zwierzętami są rozrzucone zagadkowe symbole: przedmioty podobne do gałęzi palmowych, albo może mają to być pierzaste zakończenia grotów? Niektóre symbole wyglądają jak pułapki czy sidła, a może są to znaki plemienne lub rodowe?

Grota Lascause znajduje się głęboko w ziemi. Panuje w niej przenikliwe zimno, które pomogło do konserwacji malowideł i zachowania kolorów. Trudno po prostu uwierzyć, że te rogi jelenie i kucyki, mamuty, bizony i krowy, zostały wymalowane przed tysiącami lat i na tysiące lat zanim człowiek nauczył się oswajać zwierzęta i je hodować.

Na powierzchni ziemi działy się wędrówki ludów i toczyły się wojny, powstawały imperia i przepadały cywilizacje, a w grocie Lascause, chronione ściany skalne o wysokości dwudziestu stóp, trwają bezpiecznie od tysięcy lat pierwsze nieśmiałe rzuty imaginacji ludzkiej, nietknięte złą mocą człowieka, zdolnego ścierać z mapy świata miasta, wyspy, być może nawet całe lądy.

(Jo).



Rekonstrukcja człowieka i żółwia z epoki neanderthalskiej.



Przebyliśmy duży szmat drogi. Rekonstrukcja człowieka z epoki Neanderthal.

D. 011714 Druk: Zakłady Graficzne „Społem" Łódź, ul. Andrzeja Struga 63